



KRONIKA ZIEMI ZEGOCIŃSKIEJ

Numer V

RONIKA IEMI EGOCIŃSKIEJ

Numer V

Redakcja:

Redaktor naczelna: Joanna Pastuszek-Cybulska
Redakcja: Zdzisław Janiczek, Tadeusz Olszewski, Karolina Wróbel

Adres:

Stowarzyszenie Przyjaciół Ziemi Żegocińskiej
im. Czesława Blajdy

32-731, Żegocina 316
e-mail: spzz316@gmail.com www.spzz.zegocina.pl

Wydawca:

Stowarzyszenie Przyjaciół Ziemi Żegocińskiej
im. Czesława Blajdy

Projekt finansowany jest w całości ze środków
samorządu Gminy Żegocina.

Projekt graficzny i druk:

Wydawnictwo M-STUDIO M. Dryla
www.agencjamstudio.pl

WYDAWNICTWO



ISBN 978-83-64624-07-0

Numer zamknięto: czerwiec 2019 r.



Słowa pierwsze

iedy rozpoczynaliśmy prace nad pierwszym numerem „Kroniki Ziemi Żegocińskiej” (a było to w roku 2015), naszym głównym „problemem” było podjęcie decyzji, jakie teksty mają znaleźć się w treści premierowego numeru rocznika. Uznaliśmy, że artykuły o tematyce historycznej, kulturowej i przyrodniczej to najlepiej korespondujące z naszymi stowarzyszeniowymi zamiłowaniem, zakresy. Z pełni bogactwa naszego archiwum, wybraliśmy wywiady, relacje i opracowania, które w sposób symboliczny nakreśliły szkic, któremu nadal pozostajemy wierni.

W piątym numerze naszego rocznika, znajdziecie Państwo kolejne zaskakujące artykuły. Moim osobistym bohaterem numeru jest kpr. Władysław Hejmo, którego wojenne wspomnienia godne są sfilmowania i nadania im rangi tekstu źródłowego wykorzystywanego podczas nauki lekcji historii. Jest w tych wspomnieniach wszystko – radość i żal, zabawa i strach, odwaga i zdrada, młodzieńczy zapał kontra przebiegłość doświadczonego wojaka, zdrowie i choroba, życie i śmierć. Te wspomnienia dość dobrze uwalniają na kontynuowany przez Zdzisława Janiczka wojenny wątek rozgrywający się na zboczach bytomsko-łąkiecko-żegocińskiej Żarnówki. Za przyczyną jego opracowania, po raz kolejny wracamy na stoki wzniesienia, które było sceną i świadkiem rozgrywających się batalii, podczas obydwóch wojen światowych.

Aby stonować emocje wywołane wojennymi wspomnieniami, proponujemy Państwu drugą (i ostatnią zarazem) część artykułu Czesława Pączka „Z historii szkolnictwa w Żegocinie”. Będzie to miły akcent, bowiem opisywane są w nim czasy współczesne, które pamięta każdy, kto pobierał naukę w naszej żegocińskiej szkole. W piątym numerze „Kroniki”, prócz opisu szkoły, mamy jeszcze dwa odniesienia do architektury. Pierwsze z nich, znajduje się we fragmencie przedruku „Kroniki Gminy Żegocina”. Drugie, za sprawą Tadeusza Olszewskiego, przybliży nam konteksty powstawania drewnianej architektury sakralnej i dworskiej obecnej na terenie naszej żegocińskiej ziemi i jej okolic.

Na koniec, zapraszamy Państwa do lektury dwóch sentymentalnych tekstów, które powstały na kanwie doświadczeń życiowych naszych bohaterów. W pierwszym z nich, dzięki uprzejmości autora Janusza Głogowskiego, który spisał i udostępnił nam wspomniany tekst, spotykamy kobietę odważną i silną (w pełni tego słowa znaczeniu) – górnিকę. W drugim zaś artykule, poznajemy codzienność życia na wsi tuż po zakończeniu II wojny światowej, wraz z perypetiami jakie były udziałem autora wspomnień, Józefa Cempury z Łątki Dolnej. Obydwie historie pokazują nam ludzi, którzy poznali smak trudów życia na wsi i wielką satysfakcję z codziennej pracy na roli.

Ostatnim artykułem jest polemiczny tekst względem wspomnień zamieszczonych na naszej internetowej stronie. Autorem polemiki jest Grzegorz Gawel, znawca tematyki żołnierzy wyklętych działających na naszym terenie. Mamy nadzieję, że temat ten, jak i cała „Kronika” staną się powodem dyskusji w Państwa rodzinach w ciągu najbliższego roku.

Serdecznie zapraszamy do czytania naszych „Kronik”. Mamy nadzieję, że już za pięć lat będziemy mogli cieszyć się wraz z Państwem kolejnym jubileuszem naszego rocznika.

Z pozdrowieniami w imieniu Redakcji,
Joanna Pastuszek-Cybulska
Redaktor Naczelna



BLAJDA CZESŁAW (1915 – 1995)

Czesław Wincenty Blajda był synem wiejskiego nauczyciela Wincentego Blajdy i Apolonii, z domu Guzik. Urodził się w Rozdzielu, 14 września 1915 roku. Jego ojciec zginął na wojnie i matka wychowywała go sama. W Rozdzielu ukończył szkołę podstawową.

W latach 1927-1935 zdobywał wiedzę w Gimnazjum Państwowym im. Króla Kazimierza Wielkiego w Bochni. Pod wpływem znakomitych profesorów gimnazjalnych Stanisława Fischera i Piotra Galasa, okres ten ukształtował jego zainteresowania krajoznawcze. W IV klasie gimnazjum wstąpił do Koła Krajoznawczego Młodzieży Szkolnej w Bochni im. Wincentego Pola, którego niebawem został sekretarzem, prezesem i wreszcie delegatem krajowym. Pod jego kierownictwem bocheńskie Koło należało w poł. lat 30. do najlepszych w II Rzeczypospolitej.



Blajda Czesław

Już wtedy sięgał do badań etnograficznych. Napisał pracę monograficzną „Rozdziele w powiecie bocheńskim. Rok 1935”. Ostatecznie monografia dwudziestoletniego autora, nagrodzona w Krakowie na konkursie z okazji XV-lecia Kół Krajoznawczych w Polsce, została wysłana na światową wystawę do Dublina, a później stała się podstawą jego pracy magisterskiej.

Brał udział w badaniach prehistorycznych, m.in. w Grójcu koło Żywca, Ulanowie nad Sanem, na Wołyniu. Zbierał eksponaty do muzeum. Prowadził liczne obozy wędrowne, złoty krajoznawcze, wycieczki.

Po złożeniu egzaminu maturalnego w 1935 r. Czesław Blajda rozpoczął studia na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Jagiellońskiego. Zgodnie ze swymi ugruntowanymi już zainteresowaniami jako ich przedmiot obrał geografę uzupełnioną następnie etnografią i etnologią.

W 1938 r. zorganizował Akademickie Koło Krajoznawcze Studentów Uniwersytetu Jagiellońskiego liczące ponad 200 członków. Pod opieką naukową prof. Kazimierza Dobrowolskiego prowadziło ono różnorodną i ożywioną działalność. On sam uczęszczał pilnie na proseminarium etnograficzne i etnologiczne wyróżniając się pracowitością i zdolnościami.

Okupację przeżył w rodzinnej wsi. Zorganizował tu Spółdzielnię Handlową „Przyszłość”, zapewniającą miejscowej ludności zaopatrzenie w tanie towary i prowadzącą edukację gospodarczą. Spółdzielnia stanowiła równocześnie zaplecze dla konspiracyjnych struktur Batalionów Chłopskich, a następnie Armii Krajowej.

Czesław Blajda został jej żołnierzem (ps. „Osa”) w oddziale por. Stefana Wróbla. Wspólnie ze swoim dowódcą, w cywilu profesorem gimnazjalnym oraz jego żoną, w 1944 r. zorganizował tajne nauczanie w zakresie 7. klasy szkoły powszechnej. Nauka odbywała się w domu rodziców jego poślubionej w 1943 r. żony Zofii z Marciszów. Jako aktywny członek opozycyjnego Polskiego Stronnictwa Ludowego został na krótko przed wyborami w styczniu 1947 r. bezprawnie aresztowany przez funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa w Bochni i dotkliwie pobity podczas przesłuchania.

Kontynuował studia rozpoczęte na tajnych kompletach uniwersyteckich pod kierunkiem prof. Kazimierza Dobrowolskiego. Uwieńczył je dwoma magisteriami: z filozofii w zakresie etnografii z etnologią (1946) i geografii ekonomicznej (1952). W obu przypadkach przedmiotem jego badań była rodzinna wieś i jej okolice. Wykonana pod kierunkiem prof. Kazimierza Dobrowolskiego pierwsza praca magisterska zatytułowana "Badania nad kulturą ludową wsi Rozdziela, Kraków - Rozdziele 1945", jest obszerna, liczy bowiem 275 stron maszynopisu oprawionego w twardą okładkę.

W 1947 roku objął posadę nauczyciela geografii w Liceum dla Dorosłych w Krakowie i kierownictwo referatu turystycznego w Inspektoracie Szkolnym Miejskim. W 1955 roku sprowadził do Krakowa rodzinę. Pracował społecznie w Polskim Towarzystwie Krajoznawczym jako sekretarz oddziału krakowskiego oraz szef Koła Przewodników po Krakowie (do 1951 r.). Po przełomie październikowym w 1956 r. został Kierownikiem Szkolnego Wojewódzkiego Ośrodka Krajoznawczo Turystycznego w Krakowie. W latach 1958 - 1974 był kierownikiem Szkolnego Wojewódzkiego Ośrodka Krajoznawczo Turystycznego, następnie dwa lata wizytatorem szkolnym. W roku 1960 utworzył w Krakowie pierwszy w Polsce Oddział Wojewódzki Polskiego Towarzystwa Schronisk Młodzieżowych, który był bazą rozwoju ruchu krajoznawczo - turystycznego wśród młodzieży szkolnej. Inicjował powstawanie nowych schronisk młodzieżowych, organizował obozy wędrowne i zloty.

Był inicjatorem budowy schronisk PTSM. m. in. w Laskowej i Rozdzielu. Był też autorem licznych publikacji ogłaszanych drukiem w latach 1963-1993, przede wszystkim przewodników krajoznawczych po terenach rozciągających się między Bochnią, Lipnicą Murowaną, Limanową aż po Nowy Sącz („Lipnica Murowana, Rajbrot, Rozdziele i okolice”, „Bochnia, Stary Wiśnicz, Królówka i okolice”, „Od Bochni do Nowego Sącza”, „Żegocina i okolice” oraz artykułów w prasie regionalnej i fachowej, m.in. wzruszającego wspomnienia o ojcu, którego nie dane mu było poznać: „Ciernista droga Wincentego Blajdy z Rozdziela w świat”.

Ostatnie dwa lata przed emeryturą, na którą przeszedł 1 września 1976 r., pracował jako wizytator ds. krajoznawstwa i turystyki szkolnej. Pod koniec życia mocno włączył się w obchody 700-lecia Żegociny. Rocznicę tę uczcił opracowaną za namową miejscowego proboszcza ks. Antoniego Poręby monografią „Żegocina dawna i współczesna” (1993), która stanowiła zarazem podsumowanie jego długoletnich zainteresowań i studiów.

Był działaczem Stowarzyszenia Bochniaków i Miłośników Ziemi Bocheńskiej. Przez dwie kadencje pełnił funkcję prezesa krakowskiego oddziału tego Stowarzyszenia.



Zmarł 16 maja 1995 roku w Krakowie. Został pochowany na cmentarzu batowickim 22 maja 1995 roku. Za długoletnią pracę zawodową i społeczną został odznaczony Krzyżami Kawalerskim i Oficerskim Odrodzenia Polski oraz Medalem Komisji Edukacji Narodowej.

Pracował cicho i bez rozgłosu. Był człowiekiem skromnym i pracowitym, przy tym miłym, wręcz radosnym. Miłował Boga i Ojczyznę. Ogromny podziw i szacunek wzbudza jego rola jako ojca trzech synów i trzech córek, których wychował wraz z małżonką w skromnych warunkach mieszkaniowych i finansowych, a wszystkim dzieciom pomógł zdobyć wyższe wykształcenie. Wszystkie te wspaniałe przymioty tworzą sylwetkę człowieka, którego wybrało swoim patronem, powstałe w 2001 roku, Stowarzyszenie Przyjaciół Ziemi Żegocińskiej.

Źródła:

1. Blajda-Gwóźdź Maria, Olszewski Tadeusz, Czesław Bajda - geograf, etnograf, krajoznawca i społecznik z Rozdziela", wyd. Stowarzyszenie Przyjaciół Ziemi Żegocińskiej im. Czesława Blajdy, 2015
2. Gąsowski Tomasz, Spłacony dług profesora Czesława Wincentego Blajdy (1915 – 1995). Życie i dzieło, [w:] Wstęp do reprintu „Rozdziele w powiecie bocheńskim. 1935). wyd. Stowarzyszenia Rozwoju Gminy i Wspierania Przedsiębiorczości w Żegocinie, 2005 r.
3. Archiwum Społeczne Stowarzyszenia Przyjaciół Ziemi Żegocińskiej.
4. <http://www.zegocina.pl/historia/zasluzeni/blajda.htm>

BOHANES STEFAN (1914 - 1944)

Stefan Bohanes, pilot, radiotelegrafista, urodzony 31 lipca 1914 roku w Krakowie, syn Józefa i Wiktorii Duda. Zmobilizowany w sierpniu 1939 roku do 2 Pułku Lotniczego w Krakowie i przydzielony do Bazy nr 2, z którą po 17 września 1939 r. ewakuował się poprzez Rumunię i Francję do Wielkiej Brytanii, gdzie dotarł w czerwcu 1940 r. Po przejściu szkolenia w brytyjskiej szkole radiotelegrafistów został skierowany do 304 Dywizjonu Bombowego „Ziemi Śląskiej im. Ks. Józefa Poniatowskiego”. W 1944 roku zgłosił się na ochotnika do 1586 Eskadry do Zadań Specjalnych, która startując z lotniska Campo Casale w Brindisi we Włoszech dokonywała lotów nad Warszawę z dostawami dla walczących powstańców.



Bohanes Stefan

W nocy z dnia 16 na 17 sierpnia 1944 roku załoga pod dowództwem pilota sierżanta Leszka Owsianego z radiotelegrafistą plutonowym Stefanem Bohanesem wystartowała samolotem Halifax MK II JP 220 w kierunku Warszawy, aby dokonać zrzutu dla powstańców.

Po dokonaniu zrzutu w Warszawie, samolot, w drodze powrotnej do bazy został zaatakowany i mocno uszkodzony przez nocnego myśliwca Junkers Ju-88



pilotowanego przez porucznika Gustava Fransci z 100 Dywizjonu Nocnych Myśliwców. Będący przy sterach uszkodzonego samolotu sierż. Owsiany wydał rozkaz do skoku na spadochronach. Wskoczyli: ppor. pil. Włodzimierz Bernhardt, st. sierż. mech. pokł. Grzegorz Denisienko, ppor. naw. Witold Korwin-Łopuszański, plut. pil. Lucjan Kretowicz i por. naw. Władysław Schöffner. Wskoczył także radiotelegrafista plut. Stefan Bohanes, ale jego spadochron, prawdopodobnie skutkiem uderzenia przez pilota o korpus samolotu i utraceniu przytomności nie został otworzony. Plut. Bohanes zginął. Ciało lotnika odnaleziono rankiem 17 sierpnia 1944 roku w Łącku Górnej na polach dworskich. Na drugi dzień, na cmentarzu w Żegocinie, po przejściu konduktem z Łątki Górnej, urządzono mu manifestacyjny, partyzancki pogrzeb. Był on manifestacją miejscowej ludności, która tłumnie wzięła udział w ceremonii pogrzebowej. Na cmentarzu w Żegocinie sekcja oddziału Batalionów Chłopskich Jana Józefa Jarosza „Jastrzębca” pod dowództwem Alojzego Świerkota „Rysia” oddała honorową salwę karabinową.

Po wojnie, zwłoki Stefana Bohanesa ekshumowano i złożono na brytyjskim cmentarzu wojskowym w Krakowie (grób nr 1, rząd A, działka nr 1). Był odznaczony czterokrotnie Krzyżem Walecznych, dwukrotnie Medalem Lotniczym oraz pośmiertnie Krzyżem Srebrnym Orderu Virtuti Militari.

Dnia 18 sierpnia 1985 r. został uroczystie odsłonięty kamienny obelisk w Łącku Górnej, którym społeczeństwo gminy Żegocina uczciło poległego lotnika, jak również Powstańców Warszawskich. Na obelisku zamocowano metalową tablicę z napisem: „W 40 rocznicę Powstania Warszawskiego pamięci bohaterów polskich niosących pomoc walczącej Warszawie. 17.VIII.1944 w Łącku Górnej po opuszczeniu uszkodzonego samolotu polskiej eskadry do zadań specjalnych sił zbrojnych działających na Zachodzie poległ śmiercią lotnika pilot /A – G/ Stefan Bohanes PF odznaczony Orderem Virtuti Militari, 4 - krotnie Krzyżem Walecznych. Cześć jego pamięci. Społeczeństwo Gminy Żegocina”.

Corocznie, z okazji kolejnych rocznic, składane są przed obeliskiem wiązanki kwiatów i zapalone znicze. Pomnikiem opiekuje się społeczność Szkoły Podstawowej w Łącku Górnej.

Źródła:

1. „Księga Lotników Polskich poległych, zmarłych i zaginionych 1939-1946”, Wyd. "Bellona" MON. Str. 217
2. Wojciech Krajewski, "Powietrzna walka nad Bochnią", wydawnictwo: Stowarzyszenie Bochniaków i Miłośników Ziemi Bocheńskiej, 2006 r.
3. Robert Wardzała „Epizod z podniebnego frontu” – Tarnowski Magazyn Informacyjny „TEMI”, nr 10.03.1984 r.
4. Jan Truś „Relacja z zestrzelenia samolotu i śmierci lotnika” - rękopis, Łąka Dolna, 7.10.1979 r.

KACZMARCZYK JAN (1929 - 2015)

Jan Kaczmarczyk urodził się 6 maja 1929 roku w Łącku Górnej, w rodzinie Kunegundy Wrona i Henryka Kaczmarczyka. Miał trzy siostry. Uczył się najpierw w Szkole Powszechnej w Łącku Górnej. Jako mały chłopiec, w latach 30-tych XX w.



chodził na polowania w nagonce z łąkieckim dziedzicem Antonim Rutowskim. Jego ojciec - Henryk Kaczmarczyk - od 1921 roku pracował w dworze Rutowskiego jako mechanik, traktorzysta, osobisty szofer.

Nauka Jana Kaczmarczyka na tajnych kompletach w bocheńskim Liceum przypadła na trudne lata okupacji hitlerowskiej. Po maturze zdał egzamin wstępny i został studentem Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Po zakończeniu studiów na Wydziale Rolniczym Uniwersytetu Jagiellońskiego 12 marca 1952 roku uzyskał tytuł inżyniera rolnika, a 29 sierpnia 1953 roku magistra nauk zootechnicznych. Bezpośrednio po uzyskaniu dyplomu, rozpoczął działalność naukową i dydaktyczną w Katedrze Szczegółowej Hodowli Zwierząt, w nowo utworzonej Wyższej Szkole Rolniczej w Krakowie.

W 1963 r. otrzymał stopień doktora nauk rolniczych w Wyższej Szkole Rolniczej w Krakowie, na podstawie pracy „Obserwacje nad cyklem płciowym macior ze szczególnym uwzględnieniem zmian cytologicznych w ich drogach rodnych”. W 1973 r. habilitował się na podstawie rozprawy „Wpływ poziomu białka w dawkach pokarmowych dla loch prośnych rasy polskiej białej zwisłouchej na ich ciężar, retencję azotu, liczbę i jakość potomstwa”. W 1983 r. otrzymał tytuł profesora nadzwyczajnego, a w 1989 - profesora zwyczajnego.

W 1964 roku, w Bazylicy w Miechowie zawarł związek małżeński w Wandą Styczeń, po czym zamieszkali razem w Krakowie.

Przez wiele lat profesor Jan Kaczmarczyk (1974-1992) kierował Zakładem Hodowli Trzody, a następnie w latach 1993-1998 Katedrą Hodowli Trzody Chlewnej. Pełnił w Uczelni i na Wydziale liczne funkcje m. in. Kierownika Zawodowych Studiów Zaocznych Wydziału Zootechnicznego, był członkiem Uczelnianej Komisji ds. Rolniczych Zakładów Doświadczalnych oraz Komisji Dyscyplinarnej ds. Studenckich.

Profesor Jan Kaczmarczyk odbył liczne staże naukowe: w Instytucie Hodowli Zwierząt w Kopenhadze, Uniwersytecie Humboldta w Berlinie, Wyższej Szkole Rolniczej w Nitrze na Słowacji, Uniwersytecie Rolniczym w Keszthely na Węgrzech, Uniwersytecie w Lublanie.

Główne zainteresowania naukowe Profesora - w początkowym okresie działalności w Uczelni - dotyczyły oddziaływania rasy Svenska Landrace na jakość krajowego pogłowia świń. W późniejszym okresie zainteresowania naukowe skupiały się na różnych aspektach żywienia, warunkach utrzymania oraz kształtowania rozrodu tego gatunku zwierząt. Profesor Kaczmarczyk, jako jeden z pierwszych w kraju (w 1962 r) uzyskał prosięta urodzone po sztucznym unasiennianiu.

Wyniki swoich badań Profesor przedstawił w ponad 200. publikacjach popularno - naukowych oraz referatach na konferencje naukowe. Pod jego



Kaczmarczyk Jan



kierunkiem 130 studentów wykonało prace dyplomowe. W latach 1974-82 prowadził wykłady i seminaria na studiach doktoranckich Wydziału Zootechnicznego Akademii Rolniczej w Krakowie. Był promotorem 8. dysertacji doktorskich, recenzentem licznych publikacji naukowych oraz dorobku naukowego wielu osób ubiegających się o stopnie i tytuły naukowe. Na uczelni pracował do 1999 roku, po czym przeszedł na zasłużoną emeryturę i wraz z żoną wybudował w rodzinnej Łąckiej Górnej własny dom, w którym często bywali różni goście, w tym uczniowie i współpracownicy z krakowskiej uczelni.

Za działalność naukową i dydaktyczną otrzymał Nagrodę Ministra Edukacji Narodowej (III stopnia w 1972 r. i 1978 r.; II stopnia w 1987 r.). Został również odznaczony Krzyżem Kawalerskim (1984 r.) i Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, Złotym Krzyżem Zasługi (1973 r.), Medalem Komisji Edukacji Narodowej (1996 r.), Medalem „Zasłużony dla Rolnictwa” (2004 r.), Złotą Odznaką „Zasłużony dla Ziemi Krakowskiej” (1978 r.), Złotą Odznaką ZNP (1978 r.). Był też wyróżniony wieloma nagrodami JM Rektora Uniwersytetu Rolniczego w Krakowie.

Dorobek naukowy, dydaktyczny i organizacyjny umiejscawia Profesora Jana Kaczmarczyka w szeregu wybitnych pracowników nauki i wychowawców młodzieży.

8 maja 2015 roku Profesor Jan Kaczmarczyk uczestniczył w odnowieniu nadania doktoratu na Uniwersytecie Rolniczym w Krakowie. Kilka tygodni później, w dniu 21 sierpnia 2015 roku, zmarł. Cztery dni później, 25 sierpnia 2015 roku, został pochowany w grobowcu rodzinnym na Cmentarzu Parafialnym w Żegocinie.

Źródła:

1. Koczanowski Józef [W:] Profesorowie Hodowli Trzody Chlewnej w Polsce, Wydawnictwo Uniwersytetu Warmińsko - Mazurskiego w Olszynie, s. 32-34
2. Biuletyn Informacyjny Uniwersytetu Rolniczego im. Hugona Kołłątaja w Krakowie, 10.2015 nr 4 (96)
3. Nekrolog [W:] Dziennik Polski, 24.08.2015
4. Mowy pogrzebowe ks. Stanisława Szczygła oraz prof. Czesława Klocka

MARSZAŁKIEWICZ ANIELA (1916 - 1984)

Aniela Marszałkiewicz, siostra M. Filipa od Ducha Świętego, urszulanka. Urodziła się 23 kwietnia 1916 roku we wsi Łącka Górna, pow. Bochnia (par. Żegocina), jako córka rolników Stanisława i Agnieszki, z domu Kubanek. Miała dwie siostry, z których jedna, Weronika, także wstąpiła do Zgromadzenia (s. Eustachia). Powołanie jej kształtowało się już od dzieciństwa pod wpływem głęboko religijnych rodziców i starszych sióstr, a także poprzez lekturę książek religijnych, które - jak wspominała - zachęcały ją do poświęcenia się Bogu, zawierzenia i oddania się Jemu na zawsze.

Dzięki starszej siostrze, która wstąpiła do Zgromadzenia w 1936, zgłosiła się do klasztoru w 1939 roku. Wybuch wojny rozproszył wszystkie kandydatki, które zostały rozesłane do domów rodzinnych. Dlatego kandydaturę i postulat odbyła dopiero w 1946 roku w Sieradzu, po powtórным zgłoszeniu się do Zgromadzenia w dniu 3 maja 1946 r. Nowicjat odbyła w Pniewach, tam też złożyła śluby zakonne (15 sierpnia 1949 r.). Następnie, przebywała w domu w Chylicach (1950-1953)



i w Warszawie (1953-1957), skąd we wrześniu 1957 r. przyjechała do Lublina i podjęła pracę w gospodarstwie i ogrodzie KUL-u na Poczekajce. Pracę tę wykonywała z całym zaangażowaniem i radością do chwili śmiertelnej choroby.

W życiorysie napisała o sobie: „Z Bożą pomocą i wsparta Jego łaską, jestem tym, czym jestem”. Była promienna, słoneczna. Związana z otaczającą przyrodą, umiała dostrzegać radość i piękno świata. Z ciepłem i dobrocią traktowała też współsiostry, dzieci i różnych spotykanych ludzi. Jesienią 1981 zaczęła odczuwać kłopoty z oczami i udała się do szpitala. Badania wykazały nowotwór gałki ocznej, w związku z czym nastąpiła amputacja oka i założenie protezy ocznej. Przyjęła tę sytuację z poddaniem się woli bożej. Jeszcze przez dwa lata ofiarnie i z pogodą ducha pracowała w ogrodzie,



Marszałkiewicz Aniela

dbając o upiększenie otoczenia. Miała szeroki zakres zainteresowań, wolne chwile najchętniej spędzała nad książką lub słuchając radia (najczęściej Radia Watykańskiego). Bliskie jej były sprawy świata i Kościoła powszechnego. Była otwarta na nowe formy i idee. Z zaangażowaniem włączała się w społeczność akademicką przez chętnie uczestnictwo w różnego typu spotkaniach, wykładach. Bliska jej była zwłaszcza tematyka ekumenizmu. Te trudne treści umiała na swój sposób przyjąć i przyswoić. Cieszyła się również sympatią mieszkanek domu akademickiego, które pieszczotliwie nazywały ją św. Franciszkiem lub polnym kwiatkiem. Chętnie z nią rozmawiały i pomagały w pracy. Troską obejmowała chorych i opuszczonych, niosąc pomoc mieszkankom domu opieki społecznej czy nieuleczalnie chorym.

Ostatni etap życia, trwający około pół roku, spędziła na przemian w domu i szpitalu. W chorobie była cierpliwa i pogodna. Dużo się modliła. Pragnęła wrócić do domu chociaż na święta. Przyjechała w Wielki Piątek i po kilku dniach zmarła. Stało się to 28 kwietnia 1984 roku. Spoczywa na cmentarzu w Lublinie przy ul. Lipowej.

Źródło:

1. <http://www.urszulanki.pl>

MARZAŁKIEWICZ WERONIKA (1911 - 1968)

Marszałkiewicz Weronika, siostra zakonna M. Eustachia od Najświętszego Sakramentu, urszulanka (Zgromadzenie Sióstr Urszulanek Serca Jezusa Konającego, zwanych też urszulankami szarymi), urodziła się 7 października 1911 w Łąckiej Górnej (par. Żegocina), jako córka Stanisława i Agnieszki z d. Kubanek. Była rodzoną siostrą Anieli - s. Filipy.

Pochodziła z zacnej i religijnej rodziny rolniczej. Była pilną i wzorową uczennicą miejscowej szkoły powszechnej. Do Zgromadzenia wstąpiła 28 lutego 1936 roku w Pniewach, tam przeżyła lata formacji początkowej oraz złożyła śluby zakonne (6 stycznia 1939 r.).



Następnie przebywała krótko w Lipnicy i Sokolnikach Wlk. 1 września 1939 roku przyjechała do Łęczycy. Ponieważ groziło jej wywiezienie na roboty do Niemiec, została wysłana z siostrą Mamertą Krywel do Sieradza. Pracowała tam w szpitalu. Po wojnie, w latach 1947-1959 przebywała w Monicach, a od 1 VIII 1959 r. do śmierci - w klasztorze sieradzkim. Była bardzo rozmodlona. Z różnorodnych zajęć, jakie w życiu zakonnym wykonywała, wywiązywała się sumiennie, z poczuciem odpowiedzialności. Mimo słabego zdrowia i częstych, bardzo silnych bólów głowy, będących następstwem przebytego w 1959 pogrypowego zapalenia opon mózgowych, była pogodna. Cierpliwie znosiła dolegliwości.

W październiku 1968 roku zachorowała na grypę, która stała się przyczyną jej śmierci. Zmarła w 58 roku życia i 33 roku powołania zakonnego. Spoczywa na cmentarzu parafialnym w Sieradzu.

Źródło:

1. <http://www.urszulanki.pl>



Marszałkiewicz Weronika

ROSZEK WOJCIECH (1834 -1894)

Roszek Wojciech – ksiądz, taternik, działacz Towarzystwa Tatrzańskiego, syn rolnika, urodzony 17 kwietnia 1834 roku w Łącku Górnej. Szkołę wydziałową i niższe gimnazjum ukończył w Bochni, po czym kształcił się w Krakowie, a następnie studiował w Seminarium Duchownym Instytutu Teologicznego w Tarnowie. W 1860 roku otrzymał święcenia kapłańskie od biskupa Józefa Alojzego Pukalskiego.

Jako nowy wikariusz został przeznaczony najpierw do Trzciany, potem do Radłowa, Zassowa, Chełmu, a następnie do Bochni, skąd przybył do Poronina jako piąty z kolei proboszcz i tu już pozostał do końca swojego życia. Czas jego proboszczowania w Poroninie trwał 24 lata, a więc najdłużej ze wszystkich swoich poprzedników. Spisywał tam kronikę parafialną. Był prodziekanem dekanatu nowotarskiego. Jego działalność duszpasterska, jako też gospodarska i społeczna wyraźnie zaznaczyła się na każdym odcinku życia parafii. Był proboszczem gospodarnym, ale dbał nie tylko o kościół i plebanię, ale też o inne sprawy parafian.



Roszek Wojciech



Doprowadził m. in. do zbudowania szkoły w Poroninie. Popierał rozwój przemysłu góralskiego i wysunął inicjatywę utworzenia szkoły snycerstwa w Zakopanem. W 1875 odnalazł kandydata - Macieja Mardulę z Olczy - na pierwszego nauczyciela Szkoły Snycerskiej w Zakopanem, otwartej przez TT w 1876 roku, a następnie w latach 1881-87 z ramienia TT był członkiem rady nadzorczej owej szkoły, zwanej już oficjalnie Szkołą Fachową dla Przemysłu Drzewnego. Propagował rozwój kółek rolniczych, dbał o oświatę wśród chłopów.

Dużo chodził po Tatrach i trwało to aż do 1892 roku. Jako jeden z pierwszych, własnoręcznie znakował ścieżki w Tatrach. Prowadził też badania naukowe, m. in. źródeł dopływowych Morskiego Oka, aby sprawdzić, czy zamarzają, a także obserwacje meteorologiczne. Przy próbie wejścia na Gerlach w 1874 w towarzystwie Tytusa Chałubińskiego, ks. Józefa Stolarczyka i in. dokonał pierwszego wejścia na Ponad Ogród Turnię. Był też jednym z pierwszych turystów zimowych w Tatrach: w lutym 1891 w gronie kilku osób odwiedził Morskie Oko. Był jednym z pierwszych członków Towarzystwa Tatrzańskiego, od 1874, i wieloletnim jego działaczem. Od 1874 r. był członkiem (potem także przewodniczącym) pierwszej komisji wykonawczej Towarzystwa Tatrzańskiego w Zakopanem. Komisja ta zajmowała się schroniskami i ścieżkami w Tatrach. Poświęcił schronisko zbudowane przez Adama Uznańskiego przy Morskim Oku. W 1876 kierował budową schronisk w Starej Roztoce i przy Pięciu Stawach Polskich, a w 1891 budową drugiego z kolei schroniska TT przy Morskim Oku. Działał też społecznie w in. dziedzinach, np. w Towarzystwie Podtatrzańskim. Od 1888 roku został opiekunem zbiorów Towarzystwa Muzeum Tatrzańskiego im. Tytusa Chałubińskiego.

W Poroninie od 1871 prowadził przez wiele lat obserwacje meteorologiczne z ramienia krakowskiej Komisji Fizjograficznej, a przez jakiś czas również obserwacje fenologiczne i ogłaszał ich wyniki w "Sprawozdaniach Komisji Fizjograficznej" (1874-78).

Wydawał z ramienia TT jako członek zarządu pierwsze odznaki i książki przewodniczące. Był członkiem Komisji Fizjograficznej Towarzystwa Naukowego Krakowskiego, a później Akademii Umiejętności i publikował swe uwagi w sprawozdaniach komisji. Założył też stacje Towarzystwa Tatrzańskiego w Białce, Czarnym Dunajcu, Czorsztynie, Nowym Targu i Zakopanem.

Zmarł 13 grudnia 1894, mając zaledwie 59 lat i spoczął na cmentarzu w Poroninie.

Źródła:

1. Roszek Zofia, Wśród nielegendarnych postaci Zakopanego. "Chrześcijanin" nr 6, 1981.
2. Dzieszński Ryszard, Z Łątki, [w:] Ziemia Bocheńska, październik 1992, str. 11,
3. www.parafiaporonin.net
4. https://z-ne.pl/t,haslo,4108,roszek_wojciech.html



Z historii szkolnictwa w Żegocinie (c.d. z nr III „Kroniki Ziemi Żegocińskiej”)

Pierwszy rozbiór Polski nie spowodował pustki, jeśli chodzi o nauczanie dzieci. Pomimo oficjalnego zaniechania prowadzenia szkoły przy parafii, dzieci nadal uczył ten sam nauczyciel –najczęściej był to organista, a niejednokrotnie sam proboszcz. Odszukany z 1786 roku zapis informuje, że na terenie Małopolski w czasie zaborów, prowadzono systematyczne nauczanie, a nauczyciele byli opłacani z kasy cyrkułu (dawna nazwa powiatu). Zwierzchnictwo nad szkolnictwem z zaborze austriackim, sprawowało Krajowe Gubernium, które przydzielało dla szkół środki na prowadzenie tych placówek (pieniądze na opał, pensje dla nauczycieli, remonty itp.).

W Żegocinie istniała szkoła w starym drewnianym budynku (prawdopodobnie po dawnej szkole parafialnej), zlokalizowanym naprzeciwko kościoła, być może w tym miejscu, gdzie obecnie istnieje plac z posągami św. Floriana. Być może w tym rejonie, nieco później usytuowano też budynek wikarówki, który zachował się do czasów współczesnych, ale pełni już inną funkcję niż pierwotnie. Z informacji odnotowanych w zapisach kronikarskich wynika, iż drewniany budynek szkolny w roku 1826 został rozebrany ze względu na grożące niebezpieczeństwo zawalenia się całej zbutwiałej konstrukcji. Niestety nie doszukano się zapisów, gdzie uczyły się dzieci po rozebraniu budynku. Można przypuszczać, że wynajmowano pomieszczenia w domach prywatnych lub w budynkach przykościelnych.

Brak szkoły był dla miejscowej ludności odczuwany jako znaczna dolegliwość, gdyż miejscowi gospodarze wraz z ówczesnym proboszczem ks. Kasprem Górką (1834-1864) postanowili wybudować nową szkołę na gruncie plebańskim. O miejscu lokalizacji nowego budynku nie pozostawiono jednak żadnego zapisu w kronice parafialnej. Budowę rozpoczęto w roku 1862, a zakończono w 1866 już za proboszcza ks. Jakuba Janczego, który udzielał gospodarzom wszechstronnej pomocy. Po otwarciu szkoły był on także przewodniczącym Komitetu Szkolnego, w którym uczestniczyli oprócz niego: Józef Niwicki – właściciel Kierlikówki, Antoni Rudnicki –właściciel poczty dyliżansowej w Żegocinie, Józef Wolak – rolnik z Rozdziela oraz Urban Rosiek z Łątki Górnej. Po zakończeniu budowy szkoły w 1867, zatrudniono nauczyciela Ferdynanda Łapińskiego, ustalając mu roczną pensję w kwocie 200 złotych reńskich.

W tym czasie, do związku szkolnego, oprócz Żegociny, należało Bytomsko i Bełdno. Te wioski miały swoje udziały finansowe przy budowie szkoły i proporcjonalnie do tych udziałów posyłało dzieci do szkoły.



Pod koniec 1873 roku powstała Rada Szkolna Miejskowa w następującym składzie: Wawrzyniec Rosiek – gospodarz z Żegociny, Antoni Bilski – wójt Żegociny, Paweł Kowalski – leśniczy dworski z Bytomska, Walenty Dudzic – gospodarz z Beldna, ks. Jakub Janczy – proboszcz z Żegociny oraz Jan Dybczak – nowo zatrudniony nauczyciel. Przewodniczącym Rady wybrany został jednogłośnie Wawrzyniec Rosiek, który stanowisko to piastował przez 11 lat. W 1880, w związku z coraz większą ilością dzieci, nakazem Rady Szkolnej Krajowej utworzono w Żegocinie (nie bez sprzeciwu Rady Szkolnej Miejskowej) drugi oddział nauczania.

W katalogu głównym z 1879 wykazano 110 dzieci uczęszczających do szkoły codziennie (54 chłopców i 56 dziewcząt), do szkoły niedzielnej natomiast uczęszczało wówczas 20 chłopców i 21 dziewcząt. W okresie, o którym mowa Rada Szkolna Miejskowa miała bardzo szerokie kompetencje nie tylko w sprawach administracyjnych szkoły, lecz także w sprawach merytorycznych dotyczących nauczania. Jako przykład dużych uprawnień Rady można przytoczyć fakt, że w jednym roku szkolnym Rada zwolniła z obowiązku nauki aż 91 uczniów z bardzo błahych powodów: „.... a to, że uczeń nie może podołać trudom nauki, a to, że z powodu biedy nie stać rodziców na odpowiednie ubranie i obuwie, bądź dlatego, że syn czy córka potrafią już się podpisać i znają alfabet itp.”

Rada starała się wszelkimi sposobami odwlec w czasie utworzenie drugiego oddziału nauczania. Wysyłano nawet pisma do Cesarsko-Królewskiej Rady Szkolnej Okręgowej, narzekając w nich na wzrost wydatków, związanych w wynajęciem sali, kosztami opału, wyposażeniem w tablicę i ławki oraz kosztami wynajmu mieszkania dla drugiego nauczyciela. CK Rada okazała się nieugięta i nakazała natychmiastowe wynajęcie izby dla drugiego oddziału. Rozkaz odniósł skutek. Wynajęto drugą izbę na trzy lata od miejscowego właściciela ziemskiego Samuela Rosenbluma za 50 złotych reńskich rocznie. Należy również nadmienić, że wcześniej, bo już w roku 1882 CK Rada Okręgowa wezwała Radę Szkolną Miejsową do zakupu „kawałka pola pod nową szkołę”. W piśmie z 3 lutego 1882 CK Rada uzasadniła zakup ziemi pod budowę szkoły koniecznością rozwoju szkolnictwa. Trudno bowiem wyobrazić sobie edukację młodzieży bez własnego budynku szkolnego. W rezultacie tej propozycji, Rada Szkolna Miejskowa w Żegocinie, po licznych i burzliwych naradach, zawarła wstępne porozumienie w sprawie odkupienia potrzebnego kawałka ziemi od Aleksandra Janiczka – miejscowego gospodarza. Umowa kupna nie doszła jednak do skutku, gdyż, jak podaje kronikarz: „Aleksander Janiczek, chcąc wykorzystać sytuację, jako człowiek nader zachłanny i chciwy, podniósł cenę sprzedaży z pierwotnie ustalonej, tj. 120 złotych reńskich na 250 złotych reńskich). Tymczasem z rokiem szkolnym 1882/83 zakończył się okres 3-letniej kadencji Rady Szkolnej Miejskowej. Dokonano wyboru nowej Rady w dotychczasowym składzie, dobierając jeszcze księdza Franciszka Gawłowicza – katechetę z Żegociny i Franciszka Ziętkiewicza – drugiego nauczyciela. CK Rada Szkolna Okręgowa chcąc zmusić Radę Szkolną Miejsową do ujęcia w preliminarzu na rok 1883 odpowiedniej kwoty na zakup gruntu pod budowę szkoły, zagroziła środkami przymusu, co też odniosło pozytywny skutek. W preliminarzu finansowym na rok 1883 umieszczono



kwotę 350 zł reńskich na zakup gruntu.

W tym samym czasie odszedł, na własną prośbę, kierownik szkoły Jan Dybczak, obejmując stanowisko nauczyciela w Łapczycy k/Bochni. Od 1885 roku kierownictwo szkoły w Żegocinie objął Franciszek Ziętkiewicz, a 15 października, wybrano nową Radę Szkolną w osobach: Wawrzyniec Rosiek i Antoni Bilski – miejscowi gospodarze, Jan Pączek – naczelnik gminy Żegocina, Wojciech Juszczyk – wójt z Bytomska, Józef Błoniarz – wójt z Bełdna, a także ksiądz Jan Olesiński oraz nauczyciel Franciszek Ziętkiewicz – kierownik szkoły, i z głosem doradczym młody nauczyciel – Wojciech Kowalski. Jak pisze kronikarz szkolny Stanisław Polek, „kierownik Franciszek Ziętkiewicz był dobrym nauczycielem, ale niezbyt dbał o sprawy szkolne i nader skromnym w zapisywaniu, bo nic w aktach wyczytać nie można było”. 13 sierpnia 1887 pana Ziętkiewicza zastąpił na stanowisku kierownika nauczyciel mianowany Jan Krawczyk. Rok 1888 stał się okresem przełomowym dla szkoły w Żegocinie. W wyniku licznych starań i zabiegów szkoła znalazła swoje stałe miejsce. Wykupiono od Antoniego Rudnickiego, właściciela poczty dyliżansowej w Żegocinie, budynek wraz z ogrodem, który był usytuowany w miejscu gdzie dzisiaj znajduje się przedszkole. Dom kosztował 750 złotych reńskich, a ogród 200 złotych reńskich liczonych według wartości złota. Budynek mieścił dwie duże sale i mniejsze 3 pokoje z kuchnią. Do szkoły mogły uczęszczać dzieci z Żegociny, Bełdna i Bytomska w takim stosunku ilościowym, w jakim te gminy przyczyniły się do kupna tej nieruchomości. W kolejnych latach przybywało dzieci w Żegocinie i uruchamiano nowe dodatkowe oddziały. Budynek był jednak mocno zniszczony i wymagał ustawicznego remontu. Jak w jednym roku wyremontowano dach, to w roku następnym zaszła konieczność wymiany podłóg w sali szkolnej i w mieszkaniu kierownika, który zajmował większą część pomieszczeń budynku szkolnego. Jak podaje kronikarz w roku 1911 „sprawiono wychodki z pięcioma przedziałami”.

W kolejnych latach przybywało dzieci z Rozdziela, Konic i Łątky. W związku z tym CK Rada Okręgowa nakazała utworzenie drugiej klasy nadetatowej, dla której trzeba było wynająć izbę do nauki, gdyż brakowało miejsca w budynku szkoły. Nowy kierownik szkoły, Stanisław Polek (1903-1916), chcąc sprostać tej sytuacji wynajął w roku szkolnym 1912/13 izbę do nauki w domu Walentego Zatorskiego (na Piechówce) za 80 zł reńskich czynszu rocznego. Lokal ten przeznaczono do nauki najmłodszych dzieci oddziału pierwszego stopnia, gdyż był on usytuowany w środku wioski i chciano w ten sposób ułatwić dostęp do szkoły małym dzieciom. Starsza klasa pierwszego oddziału pozostała w budynku szkoły. W roku szkolnym 1916/17 kierownikiem szkoły został Michał Rewucki, repatriant ze wschodnich rubieży Rzeczypospolitej, który zastał budynek szkolny w kiepskim stanie. Remontu wymagała stolarka budowlana, piece, zagrzybione podłogi i przeciekający dach. Działania wojenne na naszym terenie doprowadziły do kryzysu gospodarstw chłopskich i pogłębienia istniejącej biedy. Stale brakowało środków na przyzwoite utrzymanie budynku szkolnego, a także zmieniających się nauczycieli, którzy pracowali za niskie pensje, z których znaczną część musieli wydawać na opłatę



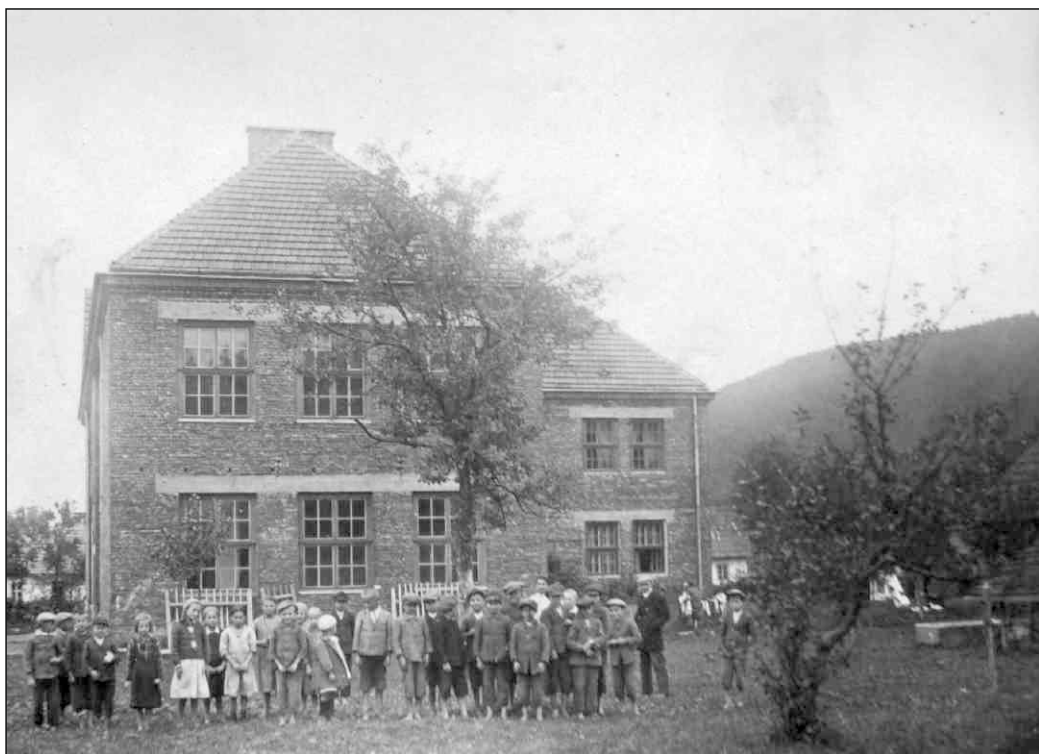
czynszu i utrzymanie. Zdarzały się też dłuższe okresy przerw w nauce, które spowodowane były różnymi epidemiami lub brakiem opału w czasie ostrych mrozów. Dla zilustrowania tej sytuacji można przytoczyć zapis kroniki, który brzmiał: „od 15 listopada 1916 do 15 stycznia 1917 nie było nauki z powodu panującej epidemii szkarlatyny”.

Podczas ostrych mrozów frekwencja uczniów była bardzo niska, zwłaszcza wśród najmłodszych dzieci. Zimą w roku szkolnym 1917/18 za zgodą inspektora szkolnego prowadzono naukę tylko w dwóch pomieszczeniach z powodu braku opału, z powodu całkowitego braku opału przerwano nawet naukę na osiem dni. Rok szkolny 1918/19 – po odzyskaniu niepodległości – nie przyniósł na polu edukacji szczególnych wydarzeń. W kronice szkolnej odnotowano, że na ten rok szkolny zapisanych zostało 192 dzieci, a mianowicie 93 chłopców i 99 dziewcząt. Utworzono też III i IV oddział nauczania. W roku następnym, już w wolnej ojczyźnie, uczęszczało do szkoły 186 dzieci. Brak opału oraz epidemia „hiszpanki” nadal jednak skutkowały częstymi przerwami w nauce. W roku szkolnym 1920/21 z powodu bielenia ścian w szkole naukę rozpoczęto z opóźnieniem, a już w połowie listopada lekarz nakazał zamknąć szkołę na 3 tygodnie z powodu epidemii ospy. Zimą tegoż roku miała również miejsce 3-tygodniowa przerwa, wynikająca z braku opału. W następnych latach, z powodu trudności materialnych poszczególnych wiosek, w których brakowało potrzebnych środków na rozwój gospodarstw i poprawę bytu, sytuacja finansowa szkoły nie uległa poprawie. W wyniku szerzącego się bezrobocia znaczna część młodych osób, nie mając żadnych perspektyw na przyszłość, emigrowała przeważnie do Stanów Zjednoczonych Ameryki oraz do Francji. Nasi mieszkańcy w większości wyjeżdżali za ocean, stanowiąc tam niewykwalifikowaną siłę roboczą w budownictwie i przemyśle. Sytuacja w szkolnictwie nie ulegała poważniejszym zmianom. Najczęściej zmieniali się nauczyciele, których sytuacja materialna pozostawiała nadal wiele do życzenia. Dotacje płynące z Rady Szkolnej Powiatowej były bardzo skromne – przeważnie były to pieniądze na opał i na drobne potrzeby szkolne. Do końca lat 20. nie było w zasadzie roku szkolnego, w którym nie byłoby przerw spowodowanych brakiem opału czy panującą epidemią. Budynek szkoły coraz bardziej ulegał degradacji i trzeba go było ustawicznie remontować choć stale brakowało na to środków. Mieszkańcy dobrowolnie podejmowali prace na rzecz szkoły, żeby ich dzieci nie musiały chodzić do szkoły w Lipnicy czy Ujanowicach. Miejscowi gospodarze oraz Rada Szkolna coraz częściej zaczęli zwracać uwagę na konieczność budowy nowej szkoły. Nadzieję na realizację tej myśli wniósł do społeczności gminnej nowo mianowany (1928 r.) kierownik szkoły w Żegocinie Jan Budyś. To właśnie jemu miejscowa społeczność oraz młodzież zawdzięczają pewne ożywienie i otrząśnięcie się z dotychczasowej niemocy. Nowy kierownik zorganizował uroczyste obchody 10 rocznicy Odzyskania Niepodległości Rzeczypospolitej, które odbyły się 11 listopada 1928 roku przy udziale parafii, wiosek Żegociny, Bytomska, Łątki, Beldna i Rozdziela oraz Ochotniczych Straży Pożarnych z tych miejscowości. Jan Budyś w styczniu 1929 doprowadził do spotkania członków Szkolnej Rady



Miejscowej z inspektorem szkolnym Franciszkiem Zbyszyskim, które zaowocowało podjęciem decyzji o budowie nowej szkoły w Żegocinie. Była to decyzja przełomowa dla naszej społeczności, w rezultacie której w nowym budynku już od stycznia 1931 znalazły swoje miejsce dzieci od klasy 1-4. Najbardziej oddanym przy budowie, oprócz kierownika Jana Budysia, był nadzwyczaj energiczny i bezinteresowny wójt gminy Żegocina Piotr Kępa – to również dzięki jego staraniom budowę szkoły rozpoczęto już wiosną 1929 roku, żeby jednak móc zrealizować ten cel usilnie zabiegał on m.in. o pożyczkę w Banku Gospodarstwa Krajowego w Warszawie. Dzięki wysiłkom jego oraz miejscowych radnych uzyskano od Inspektoratu Szkolnego 25 tysięcy złotych bezzwrotnej subwencji niezbędnej dla kontynuowania budowy. Budynek mimo licznych trudności oraz ówczesne warunki techniczne i transportowe powstawał w dość szybkim tempie. Wszystkie prace budowlane wykonywano ręcznie przy pomocy prostych urządzeń, gdyż w tamtych czasach nie było elektryczności ani maszyn i dźwigów. Dnia 22 grudnia 1930 roku po przeprowadzonym przez komisję odbiorze technicznym, części wykończonego budynku na użytek szkoły, (cztery sale lekcyjne) nastąpiło uroczyste poświęcenie całego gmachu.

Z dniem 1 września 1931 roku obowiązki kierownika nowej szkoły objął Roman Radłowski, który oprócz pracy pedagogicznej był inicjatorem życia kulturalnego w Żegocinie. Założył on m.in. Czytelnię Towarzystwa Szkoły Ludowej,



Stare zdjęcie szkoły z 1931 r.



Koło Gospodyń Wiejskich, Niedzielny Uniwersytet Wiejski, chór, Szkolną Kasę Oszczędnościową, bibliotekę oraz reaktywował Kółko Rolnicze Organizował także kursy kroju i szycia oraz gotowania, zjazdy okolicznych kółek rolniczych oraz przedstawienia teatralne. Jego działalności na niwie oświatowej nie sposób przecenić. Z dniem 1 września 1936 kierownikiem szkoły została Janina Śliwkowa, której przypadł trudny okres prowadzenia szkoły podczas mrocznych lat okupacji hitlerowskiej aż do roku 1948. Po przeniesieniu pani Janiny Śliwkowej z Żegociny do Cichawy kierownictwo szkoły objął z dniem 31 sierpnia 1948 Jan Przeniosło, który był nauczycielem bardzo dobrze przygotowanym i doświadczonym. Staż nauczycielski odbywał w powiecie gorlickim, a od roku 1937 uczył w Rozdzielu i później jako kierownik od 1 września 1940 w szkole w Ujeździe. Znacznie przyczynił się do ożywienia życia społecznego i kulturalnego mieszkańców naszej gminy. Jego zasługą było dokończenie budowy szkoły oraz jej dalsze wyposażenie. Prowadził praktyki pedagogiczne, zorganizował Uniwersytet Wiedzy Powszechnej, a także przyczynił się do budowy domu nauczyciela i żegocińskiego przedszkola. Był radnym gminnym wielu kadencji. Został uhonorowany Złotym i Kawalerskim Krzyżem Zasługi oraz odznaczeniami resortowymi. Na emeryturę przeszedł w roku 1973. Nowym kierownikiem w tym samym okresie został Franciszek Widła, który podjął się dzieła dobudowy nowego skrzydła szkoły i sali gimnastycznej.

W latach 90. ubiegłego wieku nastąpił w gminie Żegocina dynamiczny rozwój szkolnictwa. W roku 1993 roku powstało Liceum Ogólnokształcące. Pierwszym dyrektorem tej placówki został Jan Adamski, prowadzący równolegle



Nowa szkoła obecnie.



Szkołę Podstawową. W 1997, w wyniku przeprowadzonego konkursu, stanowisko dyrektora liceum, a w późniejszym czasie również Zespołu Szkół, tj. Zasadnicza Szkoła Zawodowa (1996), Gimnazjum (1999)) objęła Danuta Pączek, która pełniła tę funkcję do 31 sierpnia 2018 roku. W okresie pełnienia przez nią funkcji dyrektora, rozbudowano budynek szkoły (nadbudowano drugie piętro), utworzono Liceum dla Dorosłych oraz nawiązano liczne kontakty z podobnymi placówkami oświatowymi w kraju i za granicą. Od 1 września 2018 stanowisko dyrektora Zespołu Szkół w Żegocinie objęła pani Katarzyna Sutor.

Należy też nadmienić, że w roku 2009 utworzono w Żegocinie Szkołę Muzyczną I stopnia, która cieszy się sporym zainteresowaniem okolicznej młodzieży. Dyrektorem szkoły został pan Tomasz Cudejko. Swoją siedzibę placówka ta znalazła w budynku żegocińskiej szkoły, a jej filie znajdują się w Lipnicy Murowanej, w Pasierbcu oraz w Laskowej.

Źródła:

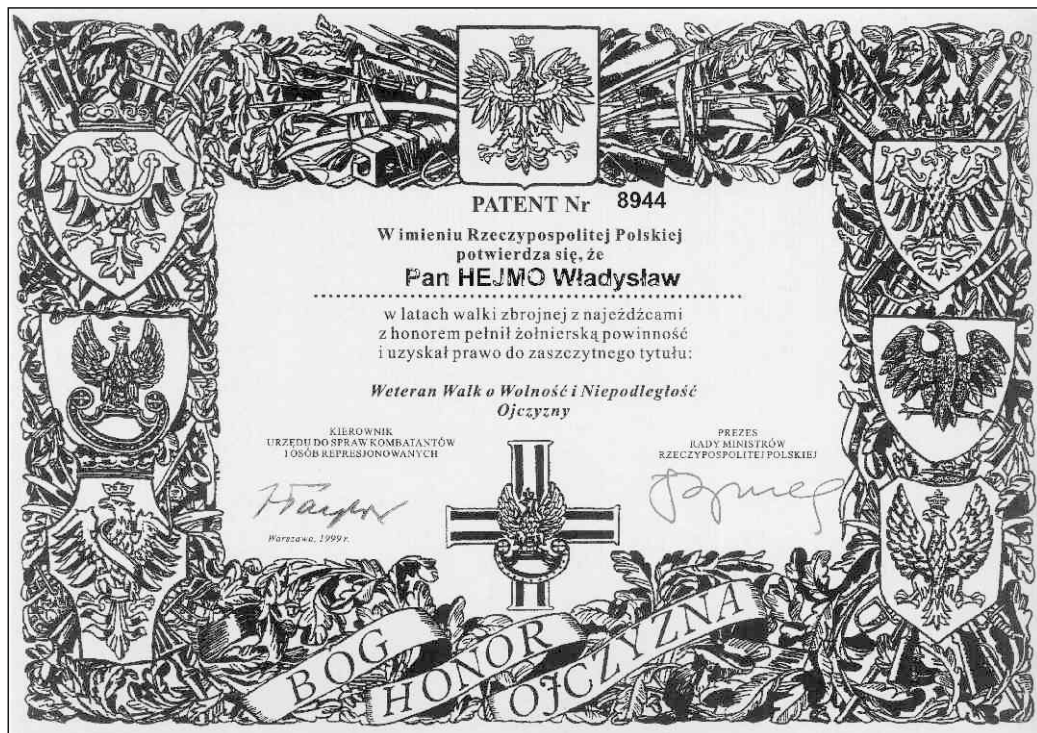
1. Czesław Blajda- „Żegocina dawna i współczesna” Kronika szkoły w Żegocinie od 1886 roku
2. Jerzy Pączek- „Organizacja i niektóre funkcje parafii Żegocina w XIV-XVIII wieku”



Władysław Hejmo

KAMPANIA WRZEŚNIOWA, TO BYŁ NAJGORSZY OKRES W MOIM ŻYCIU

(Wspomnienia spisała w 2002 roku wnuczka Władysława Hejmo – Agata Twardowska)



Patent dla kpr. Władysława Hejmo pozwalający korzystać z uprawnień weterana.

Część pierwsza

Zaczniemy od daty urodzin, bo to później rzutuje jaki ja byłem gówniarzyk w trzydziestym dziewiątym roku - 23 maja 1923 roku. Ukończyłem siedem klas podstawowej. Wtedy szkoła podstawowa miała siedem klas, nie osiem. Tato [Jan Hejmo, ur. 1894 w Żegocinie – dop. red.], jako Legionista, wybrał mi zawód: wojskowy i zdawałem do Szkoły Podoficerskiej dla Małoletnich w Nisku. To był trzydziesty ósmy rok. Były bardzo trudne warunki przyjęcia. Masę kandydatów, ale że tato podparty był jako Legionista, były "chody" jak to się obecnie mówi, przyjęto mnie. Rok byłem w tej szkole. Wybuchła wojna - trzydziesty dziewiąty rok. Wcześniej byłem ściągnięty z urlopu do tej szkoły. Pierwszego września (szkoła była w Nisku, czyli blisko Stalowej Woli) widziałem pierwszy nalot, pierwszy samolot strącony przez Polaków nad Stalową Wolą. Niektórzy wołali: -

Ćwiczenia, ćwiczenia... a tu dym z samolotu widzimy i został ten samolot strącony.

Jako niepełnoletni, nie byłem wcielony do wojska. Zostałem zwolniony i rozpuszczono mój rocznik do domów. Dostaliśmy podarte drelichy i razem z moim kumplem z Bochni, Edkiem, przyjechaliśmy do Bochni. U niego zanocewałem i chciałem iść do domu, do Żegociny, ale ojciec jego mówi: - Nigdzie nie pójdziesz, bo Wiśnicz już jest zajęty przez Niemców. Od południa, od Limanowej, Niemcy już weszli do Polski.

Decydujemy się, że szukamy RKU [Rejonowej Komendy Uzupełnień – dop. red.]. Bocheńskie RKU było już w drodze na wschód, więc my pieszo idziemy w kierunku Tarnowa. Między Tarnowem a Bochnią, gdzieś w tych okolicach, makabryczna scena. Pełno trupów. Został zbombardowany pociąg z uciekinierami ze Śląska, z terenów zachodnich. Wyszło dwóch żandarmów. Zatrzymali nas, wylegitymowali i musieliśmy wyjmować dowody osobiste, legitymacje, wartościowe rzeczy od tych biednych, którzy tam zginęli. Okropna sprawa. Młody chłopaczek przecież... zszokowani tacy byliśmy... Powiedzieli, że możemy sobie coś wziąć. Tam była kupa różnych rzeczy: portfele, zegarki, obrączki i co chcemy to sobie możemy wziąć. Ja wziąłem takie pióro. Nie, ja wziąłem zegarek, taki z kopertami, a on sobie wziął pióro, markowe. I bez żadnej umowy, bez żadnego jakiegoś porozumienia - ja wyrzuciłem zegarek i on wyrzucił to pióro, bo cośmy popatrzyli na nie, to ta scena nam się przypominała.

Jesteśmy w Tarnowie na stacji. Bombardowanie niesamowite... Skryliśmy się między kołami wagonów. Wagony się palą, wiatr idzie z tym płomieniem w kierunku naszym. Płot był taki duży z desek, przez ten płot (na olimpiadzie chyba bym pierwsze miejsce wziął) w tym strachu przeskoczyliśmy ten płot. Odeszliśmy, odbiegliśmy kawał drogi. Z potu, ze strachu te nasze drelichy były tak mokre, że całe w ziemi były utaplane, a przecież ziemia była sucha. W Tarnowie otwarta była hurtownia monopolu tytoniowego. Cywilom nie wolno było tam niczego brać, a żołnierze mogli wchodzić tam i jak ktoś palił brał sobie ile chciał i jakie chciał gatunki papierosów. Myśmy nie palili, młode takie szczawiki, zabraliśmy te papierosy do kieszeni, do chlebaczka... To nam dużo pomogło, bośmy handlowali. Ktoś nam dał konserwę to my - papieros. Taki handel wymienny był.

W Przeworsku zbombardowana cukrownia. Furmankami wozili cukier. Po kostki cukru na drodze, bo furmanki były nieszczelne. Sypał się ten cukier... Nogi miałem obdarte, niesamowicie odparzone, pęcherze. Była znowuż jakaś hurtownia, jakieś duże pomieszczenie z wyrobami spirytusowymi. Ktoś mi powiedział: - Weźże spirytusu, poszukaj jakieś puszkę, miednicy, nalej i wymocz sobie te nogi, zdezynfekuj. No i ja to zrobiłem. Ze strachu, z bólu o mało się nie posikałem, ale to pomogło. Jakieś onuce, bo skarpet wtedy w wojsku nie było, jakieś onucki czyste gdzieś tam wyszabrowałem, owinąłem te nogi i... Złapaliśmy RKU. Ale żeby złapać RKU - to mało! My, niepełnoletni, musieliśmy mieć takie pozwolenie od rodziców, że się godzą żebyśmy wstąpili na ochotnika do wojska. Ojciec kolegi był na tyle mądry, że wypisał jemu i mnie w imieniu mojego ojca i na podstawie tego przydzielili nas do 53 pułku, który stacjonował w Stryju, ale on szedł tu w kierunku



na zachód. Kolega był woźnicą, miał dwa konie i taką furmankę i jechał na tym, a mnie dali rower i na tym rowerze jechałem.

Byliśmy młodzi, ale mieliśmy dobre wykształcenie wojskowe i przydzieleni zostaliśmy do takiej kompani asystencyjnej. To byli ludzie ze średnim i wyższym wykształceniem, którzy w czasie wakacji byli powoływani do wojska i tam ich szkolono. Miesiąc, dwa miesiące... Tak, że oni mieli wiedzę wojskową mizerną. Naloty były. Oni nie umieli strzelać. Strzelali bezpośrednio do samolotu, tak że samolot był już daleko w przodzie, a pocisk był z tyłu. Dopiero myśmy im mówili, że jeżeli jest odległość od ziemi do samolotu taka to trzeba dać jedno czy dwa wyprzedzenie przed samolot to wtedy, ewentualnie pocisk trafi.

W Stryju bank. Wszystkie pieniądze polskie, banknoty, na podwórku palili, żeby się nie dostały w ręce Szwabów. Przecież, taka jakby domek jednorodzinny, tyle tych banknotów. Żerdzie mieli ci żołnierze, którzy to obsługiwali, grzebali w tym żeby się to wszystko spaliło. Ale podchodziliśmy tam i co się dało to tam każdy jakieś parę set czy tysięcy tych polskich przedwojennych złotych zabrał. Między innymi ja też i z Węgier w liście przesłałem parę set złotych do Polski i tam wymienili już po cenie nieprzyzwoitej, za parę groszy szły te złotówki w czasie okupacji, jak była wymiana.

Taką humoreskę tu opowiem. Nalot. Na drodze jesteśmy. Takie duże drzewo było i rabin ubrany w strój rabina, z białymi skarpetami i ksiądz w sutannie. I obydwa krążą w koleczko wokół tego drzewa - tak wystraszeni. To taka ciekawostka, jak to różnie ludzie reagują w takich sytuacjach.

W pociągu jesteśmy. Nalot. Z jednej strony nasyp, torowisko i tam takie moczary. No więc z tego pociągu w te moczary wpadliśmy. Takie szuwary, takie trawsko. To było tak już przed zachodem słońca. Śliczna pogoda, ale noce były zimne. Tam żeśmy się jakoś uratowali, było paru rannych. Suszyliśmy te drelichy w nocy na sobie, no bo gdzie? Nie miałeś przecież jakiegось zapasowego munduru.

Jesteśmy w Drohobycz. Niemcy. Tam takie pozycje mieliśmy na skraju Drohobycza, na peryferiach. Tam był facet, który pracował w starostwie w Drohobycz. Polak. Tam już było dużo Ukraińców, więc Polacy wyczuwali atmosferę, że jak polscy żołnierze odejdą, to tam będą samosady, Ukraińcy będą rozliczać Polaków. I ten biedny, młody człowiek, żonaty, z dzieckiem małym, błagał żeby ich wziąć z sobą. Dowódca kompani mówi: - Pan może z nami iść, ale żona, dziecko przecież nie. On zrezygnował, nie poszedł z nami, no bo chciał zostać z żoną. Już się ludzie bali tych rozrachunków z Ukraińcami. Jest taki moment żeśmy zorganizowali obronę na skraju lasu. Taki las bukowy. Artyleria po tym lesie strzela, pociski eksplodują, broń maszynowa niemiecka strzela do nas, no i wiara uciekała. A ja zostałem z takim starszym strzelcem. Słomka nazwisko jego, z cenzusem. Nie pamiętam jakie on miał wykształcenie, w każdym razie średnie, bo miał cenzus. I mówi do mnie: - Władek, wypieprzamy, bo za chwilę ja tu będę dowódcą pułku, a ty moim zastępcą - bo już wszyscy uciekli. Wycofali się, bo to głupio mówić, że uciekli na pozycje z góry zaplanowane. Jakieś kilka kilometrów idziemy, ja ten RKM niosę, pupcia się zaplata, zmęczeni. On mówi: - Rzućże ten RKM. Złap sobie



tylko karabin - bo tam i karabinki leżały naszych żołnierzyków, co porzucali. Rzuciłem ten RKM na takim skrzyżowaniu. Na polance - jest dowódca kompanii (Nie będę mówił tu jakie było jego nazwisko) i pyta się gdzie ja mam RKM. A ja na tyle błyskotliwy nie byłem tylko za mnie odpowiedział Słomka, starszy strzelec z cenzusem:

- A gdzie pan był, że pan nie wie w jakich okolicznościach Hejmo stracił RKM? Tak go sprowadził na ziemię.

Kampania wrześniowa to był najgorszy okres w moim życiu. Makabra. Głodni, zmęczeni, ja mam otarte od ładownic biodra, nogi poharatane. Potrafiłem w marszu spać. Kumpel mówi, że tuśmy byli, tośmy widzieli... Ja nic nie widziałem. Ja spałem w marszu jak jopek. Gdzieś tam jakieś jedzenie zorganizowali, wołali to ja nie szedłem po to jedzenie, ktoś litościwy mi przyniósł, dał mi, zjadłem. Przekraczamy granicę Synowucko Wyżne - Skole. To był 21 wrzesień. Już nie było wody w studniach - powypijana. Nie było nawet liści na śliwkach - wszystkie otrzepane, bo tą trasą tysiące ludzi przecież przeszło. Gdzieś tam dopadliśmy jakiś tabor, na wozach był chleb upieczony na pewno przed wrześniem 39 roku. Wojskowy chleb, Bartek, tak się na niego popularnie mówiło, spleśniały. Jedliśmy to i nikomu nic nie było, no bo był głodny człowiek. Na Węgrzech - decyzja: albo przekraczasz granicę albo wracasz do domu. Dużo wracało, przeważnie żonaci, a gros ludzi decydowało się na emigrację na Węgry. Nie wiedzieliśmy co to znaczy obóz internowanych, jakie tam będą stosunki, ale zdecydowałem się.

Po drodze, jak nas serdecznie witali Węgrzy: winogrona, pomidory, słonina taka żółta, paprykowana, chleb (oni mieli bardzo dobry chleb mieszany z mąką kukurydzianą) i do obozu.

Obóz nad Dunajem, Kizbodak ta miejscowość się nazywała, to był letni obóz dla saperów węgierskich. Baraki. W baraku takim mieszkała kompania Węgrów, a u nas batalion. Jeden koło drugiego, jak szprotki w puszcze. Żadne prycze, żadne łóżka tylko od ściany słoma, od drugiej ściany słoma, decha żeby ta słoma nie schodziła na przejście i tak się spało. Żeby nie ukradli ci koca, czy płaszcz tośmy to wiązali na sobie sznurkami, bo ktoś przyszedł tylko w tym co miał na sobie, nie miał plecaka, nie miał koca, nie miał płaszcz - kradli jeden drugiemu. Okropne były warunki. Komendą obozu byli Węgrzy oczywiście i polscy oficerowie, ale nie ci, z którymi walczyliśmy we wrześniu, tylko inni. Taka była polityka, bo niektórzy się nie wykazali, żeby nie doszło do jakiś samosądów. Byli inni oficerowie, których przeszłości się nie znało. Okropne warunki. Żarcie słabe, wszy, brud.

Wszystkich świętych. Był tam redaktor "Kuriera Polskiego" Zygmunt Nowakowski. On był starszym strzelcem z cenzusem, facet z wyższym wykształceniem, w dwudziestym roku, z wojny bolszewickiej. Duże ognisko zrobiono. W obozie było nas 12000 Polaków (w kolejce do kuchni to się stało godzinę, dwie godziny z menachą po żarcie). Nowakowski mowę na okoliczność tego święta zmarłych wygłosił. Jak bobry wszyscy płakali, tak umiał powiedzieć, nawiązać do tej tragedii września, do tego wszystkiego. W końcu zorganizowali głodówkę, żeby wymusić na Węgrach, żeby porcje, które nam się należały były



pełne, żeby nas nie okradali. Trzy dni głodowaliśmy. Już żem tak słabiutko widział z tego głodu, woda tylko. Niektórzy coś wiedzieli i gdzieś tam sobie poorganizowali kawałek chleba czy coś i pod kocem podgryzali. A ja niedoświadczony nic nie miałem tylko wodę. Przyjechało całe "naczalstwo" z Budapesztu, węgierskie i nasze. Postulaty, to, tamto... Pomogło. Zmienili komendanta, został nim porucznik. Oni mieli takie czapki z piórami i myśmy nazywali ich kogutami. Taka była dyscyplina na Węgrzech, że starszy stopniem mógł uderzyć w twarz młodszego stopniem. Mógł dać w pysk. Był taki porucznik. Nie znosił Polaków. Były tam latryny i wymyślili w ten sposób, że jak padał deszcz (latryny były wypełnione) poderżnęli drąg, na którym się siadało i ten porucznik przyszedł, usiadł i wpadł do tego. Setki ludzi patrzyło się na niego jak szedł ubrudzony tymi odchodami. Oczywiście zbiórka była i cały dzień staliśmy na placu za karę.

No więc Węgry. Z tego obozu zapisałem się do gimnazjum. To gimnazjum było w Zircu, małym miasteczku. Stworzono je dla chłopaków w moim wieku, w starszym wieku... Ale mnie niosło, żeby pojechać do Francji. Nawiązałem wcześniej łączność z rodziną w Polsce, przysłali mi adres wujka, który był we Francji. To był brat mamy, Pączek Wacek. (To były ostatnie bliźniaki w rodzinie mamy: Wacek został we Francji, a Michał wrócił. Później jak się okazało, po wojnie, jak byłem we Francji, Wacek bardzo się wślawił we francuskim ruchu oporu). I on mi napisał, żebym mu przysłał wszystkie wymiary butów, koszuli, ubrania - to on mi przysłał. Wymierzył mnie tam jakiś spec od tego, wysłałem mu te wszystkie dane i przysłał mi buty, koszulę, bieliznę, jakąś jesionkę... A dlaczego to mówię? Bo wszyscy ci, którzy uciekali do Francji zgłaszali się do punktu i tam dostawali cywilne ubranie, ale to była jakoś słabiutka, a ja dostałem eleganckie ubranie od tego wujka. Wyjdę wcześniej, dużo, dużo wcześniej: jak płynąłem do Syrii na statku kumple mówią; - Władek, po cholerę ci to ubranie. Sprzedajże marynarzom, chodźmy na flachę piwa czy wina - i sprzedałem. Zostałem tylko w kąpielówkach i w podkoszulce. I szczerotczkę do zębów miałem. Gdy wyszedłem na ląd, to kwatermistrz, któremu się zdawało ciuchy cywilne, zapytał: - Gdzie ja mam ubranie cywilne? Ja mówię: - Nie mam. Tak przyjechałem tu - mówię, że to było moje prywatne i sprzedałem marynarzom. Jego to zdenerwowało, bo oni to Arabom sprzedawali, mieli z tego pieniądze i już jednego ubranka nie miał.

Z Węgier uciekamy do Jugosławii, przekraczamy granicę. Ale przed przekroczeniem, będąc jeszcze na Węgrzech, dostawało się pięć pengó. Przed wojną tak nazywała się waluta węgierska. Pięć pengó to była równoznaczna wartość pięciozłotówki polskiej. To było parę groszy. Kombinowali ludzie w ten sposób, żeby w tym dniu nie przekraczać granicy węgiersko - jugosłowiańskiej po to tylko, żeby zatrzymać te pięć pengó. Ja też tak zrobiłem i pięć pengó byłem do przodu.

Za jakieś parę dni ponownie idiemy przekroczyć granicę. Brzydki taki incydent był. Ten, który nas przeprowadzał gdzieś pobłądził, stracił orientację w terenie, a pewien pułkownik miał lampkę. Zwrócili się do niego żeby ją pożyczył. Po tym jak on nie chciał pożyczyć lampki (wcześniej on wynajął dwóch ludzi żeby mu nieśli dwie walizy, takie jak wersalki walizy duże, za jakąś tam odpłatnością)



tragarze jego walizy zostawili w krzakach i poszli. Nie mógł ich rozpoznać, bo transakcja była przeprowadzana w nocy, tak że nie miał utrwalonych ich twarzy.

Jugosławia. Byliśmy w Zagrzebiu. Rzeką Drawa, tam żeśmy się kąpali. Były takie zasady w restauracji, że jeżeliś znalazł muchę w posiłku, to nie płaciłeś. Myśmy łapali muszki do pudełka, po zjedzeniu prawie wszystkiego wkładało się na talerz tę muszkę i nie płaciło się. Za zniszczone buty dawali pieniądze. Ja raz podjąłem takie pieniądze, bo gdzieś ktoś mi dał, czy gdzieś znalazłem takie buty wycipane i też dostałem za to parę groszy.

Jesteśmy w Istambule. Na pełnym morzu statek "Warszawa", który przed wojną transportował bekony do Anglii. Na tym statku była Polka, lekarka. W naszych oczach to była kobieta - bohater, bo mogła mieć na lądzie pracę jako lekarz, a ona na takim wyeksploatowanym statku pływała. Wszyscy się w niej kochali. I ktoś podpuścił marynarzy, żeby, jak oficerowie, starsi wiekiem, po czterdziestce, będą się w wodzie popisywali, otwarli zawory. I cała zawartość ubikacji wypłynęła (oczywiście tej pani doktor w wodzie nie było). My na pokładzie: Cha cha, cha cha - śmiejemy się z nich. Myśmy ich nazywali "dziadki leśne" - tak się nazywało tych starszych panów oficerów.

W Syrii okropne warunki. Gorąco, żarcie beznadziejne: wielbłąd, osioł, baran, tłuszczy... Ja się nie mogłem tam zaaklimatyzować. Ciągłe miałem taką chorobę tropikalną, taką anginę. Ciągłe stan podgorączkowy, dreszcze, jest mi zimno, pić tylko, żadnego apetytu. Chudy byłem taki, że jak rano wychodziliśmy na gimnastykę to dowódca kompanii, którym był porucznik Franko, mówi: - Hejmo wypieprzaj do namiotu! - skóra i kości tylko. Zdawało się, że tam zdechnę.

Takie były w Syrii stosunki w wojsku, że kto był zawodowym oficerem czy podoficerem okropnie wysoki żołd dostawał, a oficer rezerwy czy rezerwista podoficer czy szeregowy - grosiki. Kupiło się tam oranżadę, jakąś pomarańczę, jakiegoś banana, jakiś cytrus... i już po żołdzie. Raz na miesiąc. Wciąż przybywali kolejni żołnierze. I ciekawostka, że wszyscy, którzy weszli w skład Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich - to wszyscy ochotnicy. Tam nikt nie był powołany tylko z nieprzymuszonej woli, sam wstępował do tej armii.

Nie pasowało naszemu dowództwu, żeby być aliantem w Vichy, żeby współpracować z tymi Francuzami, którzy popierają Hitlera. Za cichą zgodą, znową, przekroczyliśmy granicę z Syrii do Palestyny, czyli pod skrzydełka angielskie. W Palestynie już było dużo lepiej, większy żołd. Zmienili sposób ćwiczeń. Nie tak jak w Polsce, że o piątej pobudka, dryl taki typowo polski, tylko już były złagodzone stosunki, bo widzieli, że tu ludzie nie wytrzymują zdrowotnie w takich warunkach.

No więc szkolenie, reorganizacja. Nie byliśmy jeszcze oddziałem zmechanizowanym tylko: koń, muł. Byliśmy przygotowywani na Bałkany, do Grecji. Ale Sikorski był dobrym strategiem i wiedział, że Grecja skapitułuje (z Palestyny pojechaliśmy do Egiptu). Na statku, wczekać na rozkaz wypłynięcia do Grecji, oczywiście nie wiemy dokąd płyniemy - to była wszystko ściśła tajemnica, były tylko takie domniemania (nawet na szczeblu dowódcy batalionu nie wiadano, gdzie my



będziemy wywiezieni). Przyszedł rozkaz, żebyśmy wyszli na ląd. Nie popłynęliśmy do Grecji, boby brygada, tych niespełna 6000 ludzi została wykończona. W Egipcie szkolenia, warty. Była już inwazja włoska na Egipt. Masa jeńców. Myśmy ich pilnowali. Chodzili po naszych namiotach, sprząтали nam ci Włosi. Szkaplerze mieli, sploty włosów swoich żon, swoich dziewczyn pokazywali. Że on romo katolico bił się w piersi. Oni mają takie predyspozycje do robienia różnych figurek. Te ozdoby wokół namiotu to takie były śliczne! Tam był kamień wapienny i jeżeli Włoch miał nożyk - robił cuda. Prześlicznie to wyglądało. Do dziś widzę jak to wokół namiotów stoi...

Jest taki moment, ścisła tajemnica, chlebachki tylko, bez plecaków, w tenisówkach i na statki. Nie na statki pasażerskie, tylko na statki bojowe. Płyniemy. Dopiero zorientowaliśmy się na statku, że do Tobruku, bośmy te nasze skrzynie rozpoznali, z napisami "Tobruk". Każdemu mina zbladła. Tobruk - wiadomo, twierdza obleżona. Nie wpłynęliśmy do portu, tylko po drabinkach linowych schodziliśmy do takich łodzi i tymi łodziami marynarze nas podwozili na ląd w tej twierdzy tobruckiej. Okropna sprawa. Woda pitna słona, żarcie - tylko suchary, nie było chleba, tylko konserwa, wszystko konserwa. Najgorsza była woda. Zbombardowali, zniszczyli Włosi albo Niemcy tę aparaturę, która czyściła słoną wodę na znośnie taką do picia. Później, jak żeśmy przeszli na już na tą wodę przerobioną, kiedy wyremontowali urządzenie, to znowuż za słodka nam się wydawała.

Tobruk. Pozycyjna walka. Pchły, szczury. Stało się na posterunku, wyciągałeś pocisk z łuski. usypywało się trochę prochu, w to miejsce wsypywało się ryż wysuszony, zatykało się papierkiem i wprowadziłeś do komory naboowej ten pocisk. Szczury tak jak na metr od ciebie chodziły, z takimi ogonami łysymi, takie te dranie duże jak nutrie - pociągałeś za język spustowy szczur tym śrutem dostawał, piszczał i uciekał. Taka zabawa była. Co jeszcze żeśmy tam z nudów robili? Osiemdziesiąt metrów było od pozycji Niemców do nas. Zapadał zmrok. Rakieta z naszej strony, rakietka z niemiecko - włoskiej strony i, nie pamiętam już na dwie czy trzy godziny zawieszenie broni. Nie strzelała ani ta, ani druga strona. Wtedy uzupełniało się amunicję, przyjeżdżało zaopatrzenie z tyłu, jedzenie, wszystko w termosach tam przywożono. Rakietka w górę - na nowo wojna. Taka była umowa, bo inaczej by nie można tam było wytrzymać. Ale żeby tak sobie czymś czas wypełnić, nie pamiętam kto to pierwszy wymyślił, że na patyku robiło się tarczę jak na strzelnicę i wystawiało się. Przeciwna strona strzelała. Obniżało się tarczę, sprawdzało się czy trafił czy nie trafił, jak trafił to się mu pokazywało, że trafił, a jak nie trafił machało się, że nie. I odwrotnie. Na patrolu chodziło się w ten sposób, że szło się pod kątem takim a takim przykładowo sto kroków (to nie były kroki tylko takie posuwania się, czołgając), żeby nie pobłądzić. Ciemno jak to się mówi, jak w noc egipską. Nie było tam dużo strat. Nie pamiętam, żeby tam ktoś od nas był ranny czy zabity. Ale to było takie nudne. Polak się nie nadaje do pozycyjnej walki. Wychodzimy natarciem z Tobruku. Wtedy został zabity Żyd, którego ja znałem już we wrześniu 39, on tam na minę wszedł i skończył się. Dobry żołnierz, dobry Polak,



mimo iż Wyznania Mojżeszowego. W Drohobyczu byłem z nim i Żydki go tam gdzieś ciągli. Ja mówię: - Ja nie idę, bo będziecie po żydowsku mówili. - Nie, będziemy po polsku - mówi on. On był kapralem. Proponowali mu, żeby został, że dadzą mu cywilne ubrania. Nie chciał. Stąd w moich oczach on był takim dobrym Polakiem.

Wyszliśmy natarciem spod Tobruku, później natarcie było drugie pod Gazalą (Gazala to była miejscowość z fortyfikacjami) i tam już było niedobrze. Dowódca batalionu wysłał "cariersy", to takie pojazdy na gąsienicach bez dachu tylko boki opancerzone, trzech ludzi załoga - CKM, dowódca i kierowca, na rozpoznanie, na linie włoskie. Włosi podnieśli szmatki białe do góry, że niby się poddają. Nasi to przyjęli za dobrą monetę, podjechali bliżej i oni wtedy dopiero otwarli ogień. Nie wiadomo, co z tymi dwoma "cariersami" jest. Ale dowódca Bryniczka, z Nowego Targu, nauczyciel, podporucznik rezerwy na zdobyczym motorze BMW pojechał tam, żeby wyniuchać co się tam stało. I tak się szczęśliwie złożyło, że jeden z załogi "cariersów" się ukrył, ranny był, Bryniczka położył go na bak i przyjechał. I od niego się cały batalion dowiedział jak podług postąpili Włosi.

Powiem jeszcze taką ciekawostkę odnośnie tego porucznika śp. Bryniczki, który zginął w Anglii jako lotnik w czasie ćwiczeń, w czasie szkolenia. Był taki kozak w naszej kompani, naprawdę odważny facet, kapral nadterminowy - Twardy, po wojnie wyemigrował do Australii i tam zmarł. Były wnioski na krzyże bojowe. Wnioski wychodziły z kompani do batalionu. Batalion to akceptował, albo odrzucał. I Twardego odrzucili, a Bryniczka, też wytypowany przez dowódcę kompani, zostaje powiadomiony, że będzie dekorowany Krzyżem Walecznych. Bryniczka odmówił. Podobno rzecz bez precedensu, w historii nie spotykana, żeby odmówić odznaczenia bojowego. A on motywował tym, że jeżeli kapral Twardy z jego plutonu nie dostaje, to on by się wstydził ten Krzyż Walecznych nosić. Tacy byli ludzie. On nie miał ordynansa, sam sobie wszystko robił, jak normalny żołnierz, a każdy oficer miał, jak się to mówi po wojskowemu, fajfusa.

Gazala. Jest to natarcie. Ja byłem gońcem u dowódcy kompani, którym był, z Andrychowa, oficer zawodowy, który skończył szkołę kadetów we Lwowie. W Tobruku, jak Sikorski wizytował brygadę to dowódca dostał stopień kapitana. Ja jako goniec przyszedłem tam do niego do schronu, patrzę, a on ma taki duży arkusz papieru, pióro czy ołówek i pisze: kapitan Chrapkiewicz, kapitan Chrapkiewicz... trenował podpis swój, że nie porucznik tylko kapitan. A ja, jak to ja, mówię: - Panie kapitanie, nie ma pan kawałka ołówka - on mi daje. I ja naprzeciw niego przy stole piszę: starszy strzelec Hejmo, starszy strzelec Hejmo..., bo ja dostałem starszego strzelca. Jak nie skoczy do mnie! Jak mnie pogoni! - Tylko puść farbę! - ale lubił mnie.

Po Gazali okupujemy Cyrenajkę. To była kolonia włoska. Myśmy tam pilnowali, bo tam była ropa, żeby tam nie było sabotażu. Przyszedł rozkaz wycofywania się. Nasza brygada Strzelców Karpackich, osłaniała całą armię Montgomery'ego, która się wycofywała. Tam nie wygrywał żołnierz, tam wygrywał kwatermistrz - takie było powiedzenie. Kto szybciej zorganizował sprzęt, amunicję,



broń- ten miał przewagę. Tam nie chodziło o tereny, 300 km w prawo czy w lewo, to nie było ważne. To nie chodziło o teren, tylko zniszczyć sprzęt i potencjał ludzki. Montgomery wycofuje się, my go osłaniamy. Był taki rozkaz, że jeżeli któryś wóz nawali, to nie reperować, zabierać co ważne i rozdzielać się przesiadając na inne samochody. Artyleria już strzelała tak dobrze po nas. Na BMW jeździłem, pięćseta, no bo tu wiadomość taka, tu rozkaz taki...Wycofaliśmy się. Po tej całej osłonie, nas dali na odpoczynek, no więc urlopy są. Siedem dni urlopu. To był Egipt. Z Egiptu szybko do Palestyny, bośmy tam mieli różne znajomki, w czwórkę pojechaliśmy. Ja tylko żyję. A tamtych trzech kumpli zginęło pod Monte Cassino.

Mam takie zdjęcie i jak się na nie popatrzę to zawsze gęziej skórki dostaję: Dlaczego ja żyję a oni nie żyją.... Pojechaliśmy. I mnie wtedy karta strzeliła, że wygrałem dużo pieniędzy. Na tym urlopie oni byli na moim portfeliku, oni tak tylko: wodę, pucybuta, a większe rachunki to ja płaciłem.

Jesteśmy w Egipcie, w Kairze, w eleganckim hotelu, pod baldachimem, bo pieniążki były i bez porozumiewania się wszyscyśmy te materace wyjęli z łóżek i położyli na podłodze bośmy nie mogli zasnąć, bośmy byli przyzwyczajeni na kocu na pustyni spać. Ten komfort hotelowy nam nie odpowiadał. I w jakiejś kafejce spotkaliśmy kapitana, lekarza, lotnika Polaka. On się przysiadł do nas. I tak z nim rozmawiamy, był ciekawy tej całej walki w pustyni. I on mówi: - Jak chcecie, to ja wam zrobię zwolnienie lekarskie. Przedłużycie sobie urlop. Oczywiście zgodziliśmy się. Przyjeżdżamy po urlopie - kapitan MK5 do nas: - Dezercja! Do tej pory urlop! Co jest! Kumpel mówi: - Idźże, on cię lepiej zna jak nas, bo ciągle masz kontakt z nim, wytłumacz mu co jest powodem. Ja idę, on mordę drze na mnie niesamowicie. Ja mówię: - Panie kapitanie, czy ja mogę coś powiedzieć? - I mówię mu co było: - Spotkaliśmy takiego pana, mamy jego adres. Pan pojedzie na urlop, to pan to też może wykorzystać. Pogonił mnie, ale wykorzystał. Pojechał i wykorzystał tę znajomość.

Jest moment, to był 1942 rok. Anders przyjeżdża na Bliski Wschód, z tymi biedakami z Rosji. Rewolucja w Brygadzie Karpackiej: reorganizacja, gros z nas idzie na instruktorów do nich. Ja miałem takiego dowódcę kompani. Kica, który z moim kuzynem, w Bochni robił maturę. On mnie nigdzie nie wysłał, zostawił w tej kompani, z którą brałem udział w Kampanii Libijskiej. Ale denerwowało mnie to: skończyłem szkołę podoficerską - żadnych stopni nikomu nie dali, bo nad stan było ludzi ze stopniami. Do tego doszło, że plutonowy, podchorąży włącznie do prac porządkowych, bo tyle było kadry. Nie było żadnego bodźca żebyś dostał jakiś stopień więcej. A był taki zastępca dowódcy batalionu, kapitan Koziar. Nie zrobił kariery w Polsce sanacyjnej, bo jak był Przewrót Majowy to on nie stanął po stronie Piłsudskiego, tylko po stronie przeciwnej. Był tylko kapitanem z Krzyżem Virtuti z pierwszej wojny światowej. Jak ja chodziłem z różnymi sprawami do batalionu to on mówi: - Władek - jak był w dobrym humorze, jak coś wypił - Władek, ja w tobie widzę siebie z pierwszej wojny światowej. Też taki gówniarzyk byłem jak ty. Jak żeśmy szli na przepustkę, to raz mi parę funtów do koszuli włożył. I później jak żeśmy chodzili na te przepustki, kumple mówili: - Władek, jedziemy przez batalion,



to może Koziar ci coś włoży do kieszeni. Idę gdzieś tam raz, z jakąś sprawą służbową w batalionie, on mnie spotyka i mówi: - Co masz taką minę? - Panie kapitanie, mam zmartwienie niesamowite... - Co jest? - Chciałbym jechać do lotnictwa, a dowódca kompani mi nie chce podpisać. Nie ma żadnych szans, żeby się czymś wykazać, takie bicie piany. Jestem już tym wszystkim zmęczony. Wszyscy, którzy byli to zawodowi podchorążowie, a my tylko tacy przynieś - wynieś. A on: - Gdzie pojedziesz? Będiesz rozstrzelany, możesz w transporcie jeszcze zginąć zanim do Anglii dopłyniesz - takie miał argumenty. Ja mówię: - Panie kapitanie, nie. Tak mnie wziął, przytulił do siebie i mówi: - Jak będziesz w kompanii to powiedz Kicy, żeby zadzwonił do mnie. To ja szybko do kompanii, wpadam do namiotu i mówię: - Panie poruczniku kapitan Koziar prosił, żeby pan przedzwonił do niego - i wyszedłem z namiotu, ale stanąłem tak żebym słyszał co się tam dzieje. Koziar go tam ustawił, żeby mi podpisał. Woła mnie Kica: - Miałem w planie zrobić cię obserwatorem u mnie, bystry jesteś, z jednych stron jesteśmy (on był rodem spod Uścia Solnego). Co ci, źle u mnie? Ja mówię: - Nic z tego... No i podpisał. A złożyłem pisma do lotnictwa, do spadochroniarzy i do marynarki. Skąd pierwsze przyjdzie - tam jadę.

Koniec części pierwszej.

I. EWIDENCJA WOJSKOWA	
1. Data urodzenia	23. V. 1923
2. Kategoria wojskowa	pisarska gr. I
3. Rodzaj broni	Lotnictwo
4. Podof. szereg.	podoficer
5. Nr. specjałn. wojskowej	69
6. Nazwa spec. wojskowej	Strzelcy pokładowi
7. Funkcja wojskowa	strzelec pokładowy
8. Stopień wojskowy	kapral



Własnoręczny podpis posiadacza książeczki

Hejmo Władysław s. Jan

Nazwisko, imię i imię ojca

Przewodniczący

Wiarogodność podpisu stwierdzam

Przestrzegaj przepisów i chroń książeczkę wojskową.

Książeczka wojskowa kpr. Władysława Hejmo.

Dziękujemy Panu Januszowi Hejmo za udostępnienie wspomnień i materiałów archiwalnych. Krótką biografię Władysława Hejmo zamieściliśmy w „Kronice Ziemi Żegocińskiej” nr 4 z 2017 roku. Kontynuacja wspomnień w kolejnym numerze Kroniki.



"Kronika Gminy Żegocina", tom II, część druga

Charakterystyka Gminy

Gmina Żegocina obejmuje część Pogórza Wielicko-Ciężkowickiego oraz Beskidu Wyspowego. Granica tego Beskidu biegnie północnymi stokami Kostrzy (730 m), Kamionnej (805 m), Łopuszy (661 m) i Kobyły (613 m). Natomiast ostatnimi wzniesieniami Pogórza na płd. to Żarnówka (457 m) oraz Przylasek (376 m). Znaczna erozja i lodowiec urozmaiciły rzeźbę terenu i rozwinęły sieć rzeczną, a głązy narzutowe spotkać można w Łąckie, Rdzawie i Kamionnej. Łopusze i pasmo Kamionnej rozdziela przełęcz Widoma. Ze względu na piękno krajobrazu, lesistym pasmem górskim, urozmaiconej rzeźbie terenu przecinanej dolinami potoków, obszar ten został zaliczony do turystycznych. Ze szczytu Kamionnej u stóp na płn.-wsch. Kotlina Żegociny zamknięta jest wzgórzami Żarnówki i Górczyny, a na horyzoncie próg Wyż. Małop. oraz pas Puszczy Niepołomickiej, zaś na płd. Próg Karpacki: Łopusze, Kobyła, a dalej lesiste szczyty Beskidu Wyspowego: Kostrza, Śnieżnica, Grodzisko, Ćwiklin, a w oddali Gorce i łańcuch Tatr. Wysokość bezwzględna w dolinie Żegociny 328 m., natomiast wysokość względna 340-480 m., tworzą wyraźny próg morfologiczny. Na obszarze Gminy, zwłaszcza w Beskidzie występują gleby górskie, kamieniste pochodzące z piaskowców fliszu karpackiego, które rozpadają się na ostrokrawędzisty gruz wietrzejący na piasek spajany ilem z łupków, skutkiem tego gleba staje się gliniasta. Gleby te z domieszką tworzą bielice. Na Pogórzu ze zwietrzenia wapieni spotykamy rędziny, a w zachodniej części Gminy płyty gleby lessowej, a w dolinie rzek mady. Na terenie Gminy z bogactw naturalnych znajdujemy gaz ziemny w Łąckie Górnej oraz wody źródlane, które przy pewnych inwestycjach mogą być uznane za mineralne,



Widok na Kotlinę Żegocińską z Przełęczy Widoma.



Widok z Żarnówki na południową część Żegociny.

znajdują się tu również pewne zasoby żwirów, piasków i glin. W Gminie nie ma gleb I i II klasy, przeważają gleby klasy IV i V. Spotykamy również gleby klasy VI, które powinny być zalesione. Przez teren gminy płyną dwa potoki: Sanka na płn.-zach. z Żegociny przez Łątkę Górną, Dolną, Trzcianę do Stradomki a ta do Raby, drugi mniejszy przez Rozdziele na płd.-wsch. do Łososiny. Rozdziele stanowi dział wodny



Budynek Apteki i Ośrodka Zdrowia w Żegocinie.





Budynek administracyjny – biurowy Gminnej Spółdzielni w Żegocinie.

Raby i Dunajca. W części beskidzkiej Gminy klimat górski daje znaczne wahania temperatur. Zimy przez to są mroźniejsze niż np. w Trzcianie, Łącku a lata chłodniejsze, wegetacja roślin dłuższa o dwa tygodnie. Różnice te występują również w opadach atmosferycznych i wiatrach. Często wieje halny, lecz przeważają wiatry zachodnie. Szatę roślinną tworzą lasy iglaste i mieszane, dając jesienią tej okolicy niepowtarzalny koloryt. Występują tu również pewne gatunki roślin chronionych. Gmina zajmuje obszar 79 km² i składa się z 12 wsi: Beldno, Bytomsko, Kamionna, Kierlikówka, Leszczyna, Łąka Dolna, Łąka Górna, Rdzawa, Rozdziele, Trzciana, Ujazd, Żegocina.

Gmina Żegocina liczy w 1972 roku – 8651 mieszkańców co daje gęstość zaludnienia 109 osób na 1 km² a w poszczególnych wsiach przypada: Beldno – 278 osób, Bytomsko – 560 osób, Kamionna – 773 osób, Kierlikówka – 709 osób, Leszczyna – 725 osób, Łąka Dolna – 885 osób, Łąka Górna – 1157 osób, Rdzawa – 253 osób, Rozdziele – 798 osób, Trzciana – 1298 osób, Ujazd – 310 osób, Żegocina – 1205 osób.

W strukturze zatrudnienia ludność pracująca w rolnictwie stanowi około 80%. Pola uprawne zajmują 78% powierzchni Gminy, a w obszarach obsianych: żyto stanowi 15%, pszenica 22%, jęczmień 3,6%, owies 12,7%, ziemniaki 12,7%. Łąki stanowią 716 ha, pastwiska 396 ha, a sady i ogrody 320 ha. Duże i wzorowo prowadzone sady spotykamy w Leszczynie i Trzcianie. Lasy zajmują 1262 ha, do tego należy doliczyć 229 ha polan leśnych. W hodowli zwierząt bydło rogате liczy 5685 szt., konie 765 szt., trzoda chlewna 6200 szt., owce 425 szt. i drób około 24000 szt. Urząd nowopowstały Trzciana - Żegocina mieści się w drewnianym piętrowym budynku w Żegocinie, zatrudnia średnio w 1973 r. 17 pracowników.



Na terenie Gminy działają następujące instytucje i zakłady:

- Gminna Spółdzielnia „Samopomoc Chłopska” zatrudniająca 302 pracowników, której obrót roczny wynosi 137 mln zł. Spółdzielnia posiada między innymi masarnię, piekarnię, magazyn artykułów masowych, usługi, restaurację oraz przetwórnictwo owocowo-warzywną i wytwórnictwo wód gazowych, sieć 21 placówek handlowych.

- Posterunek Milicji Obywatelskiej z 5 funkcjonariuszami i ORMO skupiająca 18 członków.

- Urząd pocztowo-telekomunikacyjny w Żegocinie z 39 abonentami i całonocnym połączeniem oraz Urzędy W Trzcianie i Kamionnej czynne w godz. 8-15.

- Ośrodek Zdrowia w Żegocinie zatrudniający 2 lekarzy: internistę i stomatologa oraz dwie pielęgniarki. W ośrodku zdrowia znajduje się izba porodowa i punkt apteczny.

- Spółdzielnia Zdrowia w Trzcianie z lekarzem internistą, stomatologiem i pielęgniarką.

- Gmina Szkoła Zbiorcza Pełna w Żegocinie z dyr. Janem Przeniosłą, 8 nauczycielami i 173 uczniami, której podporządkowane są 2 punkty filialne z klasami od I-IV w Beldnie i Bytomsku z 72 uczniami.

Szkoły 8 klasowe w: Rozdzielu – dyr. Bronisław Lis, Łąckie Górnej – dyr. Eugeniusz Łopatko, Łąckie Dolnej – dyr. Jan Liszka, Kierlikówce – dyr. Mikołaj Sumara, Trzcianie – dyr. Józef Korta

Leszczynie – dyr. Jan Wrona oraz dwa przedszkola: w Żegocinie z dyr. Zofią Klimaj i w Trzcianie z dyr. Leokadią Ujejską.



Budynki Gminnej Szkoły Zbiorczej w Żegocinie.



- Zakład Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej w Żegocinie powołany uchwałą GRN nr 52/24/7 z kier. Julianem Prytką zatrudnia 70 pracowników i wykonujący roboty za 12 mln zł.

- Spółdzielnia Oszczędnościowo - Pożyczkowa w Trzcinie i filia w Żegocinie.

- Gminna Biblioteka Publiczna działająca od 1955 r. mająca 12 tys. tomów i punkty filialne w Trzcinie, Kamionnej, Łąckiej Dolnej oraz 8 punktów bibliotecznych.

Na terenie Gminy Trzcin - Żegocina działają następujące organizacje polityczne i społeczno - gospodarcze (dane z roku 1973).

Lp.	Nazwa organizacji	Ilość podstawowych komórek	Ilość członków i kandydatów	Sekretarz lub Prezes Gminnego Komitetu
1.	Polska Zjednoczona Partia Robotnicza	12 POP w tym: 11 wiejskich i 1 przy GS Żegocina	218	Sekretarz KG PZPR Tow. Kazimierz Wrona
2.	Zjednoczone Stronnictwo Ludowe	12 Kół na wsiach prócz Rdzawy, w tym 2 Koła w Trzcinie	198	Prezes GK ZSL Julian Prytko
3.	Stronnictwo Demokratyczne	Koło Wiejskie w Żegocinie	12	Prezes Koła Janiczek Józef
4.	Związek Socjalistycznej Młodzieży Wiejskiej	12 Kół wiejskich	360	Przew. Zarządu Jerzy Błoniarz
5.	Związek Bojowników o Wolność i Demokrację	Zarząd Gminny w Żegocinie	182	Janiczek Józef Prezes Zarządu
6.	Liga Obrony Kraju	7 Kół wiejskich, 1 Koło przy Żamrałni i POW w Łąckiej Górnej	72	Fąfara Kazimierz Prezes Zarządu
7.	Ochotnicze Straże Pożarne	11 jednostek OSP bez Kierlikówki	320	Komendant Gminny Zatorski Władysław
8.	Spółdzielnie Kółek Rolniczych	12 Kółek Rolniczych	420	Prezes Zarządu Stokłosa Stefan
9.	Koła Gospodyń Wiejskich	12 Kół Gospodyń Wiejskich	180	Opiekun – Krawczyk Joanna



Wybory do Rad Narodowych – 9 grudnia 1973 r.

W wyniku wyborów z terenu Gminy Żegocina zostali wybrani radni do Powiatowej i Gminnej Rady Narodowej:

Radni do PRN w Bochni: Orzeł Stanisław – rolnik z Rozdziela, Zbyrowska Krystyna – z Beldna, Stokłosa Stefan – rolnik z Trzciany, Grabowski Stanisław – rolnik z Łątki Górnej, Cieśla Kazimierz – rolnik z Leszczyny

Radni GRN w Żegocinie: Kuska Maria – rolnik z Beldna, Prytko Julian – kierownik Gospodarki Komunalnej w Żegocinie, Fortuna Stanisław – funkcjonariusz MO, Wrona Kazimierz – pracownik umysłowy z Kierlikówki, Białka Kazimierz – rolnik z Kierlikówki, Chojecki Jan – rolnik z Leszczyny, Tworzydło Jan – rolnik z Leszczyny, Korta Helena – rolnik z Leszczyny, Widła Franciszek – nauczyciel z Kamionnej, Dudziak Maria – rolnik z Kamionnej, Rzepecki Andrzej – rolnik z Kamionnej, Dudziak Stanisław – rolnik z Łątki Dolnej, Dudek Henryk – rolnik z Łątki Dolnej, Błoniarz Jerzy – pracownik GS z Łątki Dolnej, Rosiek Jan – rolnik z Łątki Górnej, Rynduch Józef – pracownik Lecznicy Zwierząt z Łątki Górnej, Kępa Henryka – rolnik z Łątki Górnej, Krawczyk Stanisław – rolnik z Łątki Górnej, Orzeł Karolina – rolnik z Rozdziela, Sławęta Marian – rolnik z Rozdziela, Bobowska Maria – rolnik z Rozdziela, Grabowski Eugeniusz – rolnik z Rdzawy, Mikołajek Tadeusz – nauczyciel z Trzciany, Chojecki Walenty – rolnik z Trzciany, Balicka Leokadia – rolnik z Trzciany, Bębenek Franciszek – rolnik z Trzciany, Pietroń Stefan – rolnik z Trzciany, Waligóra Franciszek – Prezes GS w Żegocinie, Janiczek Józef – rolnik z Żegociny, Pączek Maria – rolnik z Żegociny, Stelmach Stanisław – rolnik z Ujazdu. W dniu 20 grudnia 1973 r. odbyła się I Sesja nowo wybranej Gminnej Rady Narodowej, która dokonała wyboru Przewodniczącego, Zastępców, Przewodniczących i członków stałych Komisji GRN.

Przewodniczącym Gminnej Rady Narodowej został wybrany radny – Wrona Kazimierz – Sekretarz KG PZPR w Żegocinie, Zastępcami Gminnej Rady Narodowej zostali – Rosiek Jan – rolnik z Łątki Górnej, Chojecki Jan – rolnik z Leszczyny

Składy Komisji GRN:

Komisja Rozwoju Gospodarczego i Zaopatrzenia:

Przewodniczący – Błoniarz Jerzy, Członkowie: Chojecki Andrzej, Prytko Julian, Dudziak Maria, Dudziak Stanisław, Stelmach Stanisław, Balicka Leokadia, Kępa Henryk, Adamczyk Stefan

Komisja Rolnictwa i Leśnictwa:

Przewodniczący – Bębenek Franciszek, Członkowie: Krawczyk Stanisław, Grabowski Eugeniusz, Kuska Maria, Orzeł Karolina, Pietroń Stefan, Ptaszek Bronisław, Gajewski Eugeniusz, Krawczyk Józef, Adamczyk Ludwik, Cempura Stanisław.

Komisja Oświaty Kultury i Spraw Socjalnych:

Przewodniczący – Widła Franciszek, Członkowie: Mikołajek Tadeusz, Bobowska Maria, Korta Helena, Rynduch Józef, Dudek Henryk, Pączek Maria, Białka Kazimierz, Kukła Joanna

Komisja Ładu i Porządku Publicznego:



Przewodniczący – Waligóra Franciszek, Członkowie: Janiczek Józef, Sławęta Marian, Chojecki Walenty, Tworzydło Jan, Dudek Stanisław, Mucha Augustyn, Zatorski Władysław

Wybory Sołtysów i Podsołtysów w 1974 r.

Rok 1974 to rok niekorzystnych warunków atmosferycznych. Silne przymrozki w okresie wegetacji i kwitnienia sadów i krzewów jagodowych obniżyły zbiór owoców prawie o 80%. Długotrwałe opady deszczu i burze gradowe spowodowały znaczne obniżenie zbioru zbóż i okopowych. Pozytywnym zjawiskiem były zielone zbiory siana i motylkowych. Spowodowało to przestawienie się rolników z hodowli trzody chlewnej na chów młodego bydła rzeźnego co było między innymi wynikiem podjęcia przez rolników zobowiązań w ramach „Rolniczego Czynu XXX-lecia PRL”. Drugi konkurs „Gmina Mistrz Gospodarności” uczynił wiele inicjatyw miejscowego społeczeństwa w podejmowaniu czynów społecznych, produkcyjnych i porządkowych. W podsumowaniu konkursu – Gmina Żegocina zajęła I miejsce w powiecie bocheńskim. W związku z upływem kadencji sołtysów w miesiącu lutym i marcu 1974 r. odbyły się na terenie gminy wybory sołtysów i podsołtysów. Wybranych zostało 12 sołtysów i 8 podsołtysów w osobach: Beldno – sołtys Rosiek Adam, Bytomsko – sołtys Waligóra Andrzej, podsołtys Matras Józef, Kamionna – sołtys Dudziak Alojzy, podsołtys Mech Stefan, Kierlikówka – sołtys Łukasik Jan, Leszczyna – sołtys Chojecki Władysław, podsołtys Lalik Konstanty, Łąka Dolna – sołtys Błoniarz Wojciech, Łąka Górna – sołtys Dziedzic Mieczysław, podsołtys Krawczyk Stanisław, Rozdziele – sołtys Paruch Stanisław, podsołtys Pławecki Szczepan, Rdzawa – sołtys Więclaw Walerian, Trzciana – sołtys Duś Jan, podsołtys Piech Stanisław, Ujazd – sołtys Więclaw Teofil, Żegocina – sołtys Pączek Jan, podsołtys Gajewski Eugeniusz.

Wszyscy wybrani sołtysi pełnili swą funkcję od I i więcej kadencji. Jednym z najstarszych sołtysów tak pod względem wieku jak i czasu pełnienia funkcji sołtysa jest Ob. Wojciech Błoniarz, sołtys wsi Łąka Dolna.

Historia powstania Zakładu Przetwórczego Owoców i Warzyw w Łące Górnej (opis skrócony)

Rolnicy południowej części powiatu bocheńskiego o mocno rozdrobnionej strukturze gospodarstw oraz dużym przeludnieniu w latach międzywojennych szukają sposobu zabezpieczenia minimum egzystencji gospodarczej, organizowali tzw. gospodarkę piętrową zasadzając pola uprawne drzewkami owocowymi. Owoce drzewek nabytych wówczas niejednokrotnie od przypadkowych dostawców o małej wartościowych odmianach bez opieki fitosanitarnej, stanowiły produkt niskiej jakości powodując tym samym trudności w jego zbyciu. W celu umożliwienia zbytu owoców o wartości przemysłowej oraz dla możliwości zatrudnienia w miejscu, z inicjatywy miejscowych działaczy spółdzielczości samopomocowej, członków PZPR i ZSL, a w szczególności Franciszka Waligóry, Leopolda Guzika, Mariana Orła,





Rozlewnia win pracownik nadzoruje produkcję.

Jana Paska, Eugeniusza Łopatko i Juliana Prytki i innych. Przy wydanym poparciu i pomocy władz politycznych i gospodarczych województwa a szczególnie przewodniczącego Wojewódzkiej Rady Narodowej Tow. Nagórzańskiego, oraz władz powiatowych na czele z I Sekretarzem KP PZPR Tow. Tadeuszem Ziemblińskim, zorganizowany został przez Gminną Spółdzielnię „SCH” w Żegocinie Zakład Przetwórstwa Owocowo-Warzywnego w Łąckiej Górnej. Pierwsze zebranie na którym podjęta została uchwała o zorganizowaniu Przetwórnicy odbyło się w obiektach byłej resztówki podworskiej w Łąckiej Górnej /w pałacu dziedzica Rutowskiego/ dnia 16 stycznia 1957 r. Resztówka ta o obszarze około 35 ha ziemi użytkowana była wówczas przez Ośrodek Zaopatrzenia Rolniczego Kraków działający przy krakowskim Przedsiębiorstwie Budowy Elektrowni i Przemysłu Kraków /obecna Chemobudowa/. Ze względu na to, że resztówka ta przynosiła wówczas straty w wysokości 250 tys. zł rocznie OZR zrezygnował z dalszego jej prowadzenia, zatrzymując dla siebie pałac i spichlerz oraz park jako obiekty nadające się do zagospodarowania dla celów kolonijnych. Cała resztówka stanowiła własność Państwowego Funduszu Ziemi. Wyżej usprawnione zebranie zwołane zostało przez kierownika Wydziału Rolnictwa Powiatowej Rady Narodowej w Bochni Ob. Włodzimierza Szczibala przy pomocy Prezydium Gromadzkiej Rady Narodowej w Żegocinie, którego przewodniczącym był Ob. Stanisław Kuska z Żegociny. W zebraniu tym brało udział około 200 osób – przedstawiciele poszczególnych wsi oraz kierownictwo OZR w osobach: Józef Nowakowski i Bobula.

Z ramienia WZGS Kraków w zebraniu tym brali udział V-ce Prezesi Zarządu



w osobach: Michał Partyka i Stanisław Dyczkowski. Podjęta uchwała na tym zebraniu określa potrzebę zmiany sposobu gospodarowania resztówką (uruchomienia winiarni) oraz dalszego użytkowania tj. Gminną Spółdzielnię „SCH” w Żegocinie. Dawne podworskie obory, stajnie i szopy zaczęły szybko przeobrażać się w hale produkcyjne. Ożywczo podziałał tu kredyt bankowy, własne nadwyżki Gminnej Spółdzielni w Żegocinie oraz fundusz interwencyjny Wojewódzkiej Rady Narodowej wpływający poprzez Powiatową Radę Narodową w Bochni. Troska o rynek zbytu, gnębiąca od dawna sadowników z Leszczyny, Królówki i samej Łątki zaczęła zanikać. Jedynym z ważnych wydarzeń nowo powstałym w Zakładzie było pierwsze tłoczenie jabłek na moszcz, które rozpoczęto we wrześniu 1957 r. na placu przy pomocy bardzo prymitywnej prasy ręcznej, otrzymanej z Bochni z małej winiarni pod nazwą „Nektar” (znajdującej się wówczas na terenie obecnego Zakładu Produkcji Urządzeń Chłodniczych). Wytłoczono wówczas 50 ton jabłek uzyskując 32 tys. litrów moszczu. Prasa ta przekazana została w późniejszym czasie bezpłatnie dla Koła Gospodyń Wiejskich w Łącku Dolnym. Nie mniej jednak duża radość – pomimo napotkanych trudności z powodu innego województwa – sprawił uzyskanie 1-ch 10-ciu kuf z browaru w Tychach. Zgodę za to wyrazić musiał I-szy Sekretarz KW PZPR w Katowicach, którym wówczas był Tow. Edward Gierek, do którego w tej sprawie udał się prezes Franciszek Waligóra. Wyjazd okazał się pomyślny o czym świadczą uzyskane kufy. W m-cu marcu 1958 r. Ob. Ludwik Polak z Tarnowa – jako pracę zleconą – dokonał 1-go nastawu moszczu na wino. Oficjalnego otwarcia Zakładu dokonano w dniu 23 sierpnia 1958 r. Z tej okazji



Serce zamrażalnictwa - maszynownia z automatycznym sterowaniem chłodzenia.





Dziś tanki są metalowe.

zorganizowano dużą uroczystość na placu – tam gdzie obecnie znajduje się boisko sportowe Chemobudowy. Na uroczystości tej obecni byli przedstawiciele władz partyjnych, administracyjnych oraz spółdzielczych jak również mieszkańcy z okolicznych wiosek degustując pierwsze wino własnego wyrobu. W uroczystości tej brał udział I-szy Sekretarz KW PZPR w Bochni Tow. Żarek i II-gi Sekretarz Tow. Ziębliński, ze strony których w późniejszym czasie uzyskiwaliśmy daleko idącą pomoc. W roku 1959 produkcja kształtowała się w granicach 500 ton przetworów. W tym samym roku Biuro Projektów WZGS Kraków opracowało projekt wstępny na rozbudowę i modernizację zakładu. W rozbudowę zainwestowano 6 mln zł. Dzięki czemu w późniejszym czasie produkcja wzrosła do 1000 ton. Rada Nadzorcza oraz Zarząd Gminnej Spółdzielni Żegocina pismem L.dz. 1337/II/66 wystąpiły do CRS w Warszawie – Prezes Kamiński w sprawie rozbudowy Przetwórni Owocowo-Warzywnej. Między innymi piszą: Cyt. „W takim stanie rzeczy ukazanie się Uchwały Komitetu Ekonomicznego Rady Ministrów Nr 156/66 oraz Uchwały Zarządu Głównego Centrali Rolniczej Spółdzielni „SCH” Nr 108/66 o zlokalizowaniu na naszym terenie budowy oddziału zamrażalniczego dla aktywizacji produkcji truskawki na eksport rozwiązało by całkowicie istniejący u nas problem”. Pierwsza decyzja o budowie zamrażalni zapadła na wniosek CRS (mgr Wnęka) Uchwałą Komitetu Ekonomicznego Rady Ministrów w czerwcu 1966 r. Uchwała ta obejmowała budowę w Polsce 10-ciu zamrażalni w tym 4 w pionie CRS. Jednak z opracowaniem dokumentacji było wiele kłopotów. Ostatecznie opracowało ją Biuro Przemysłu Fermentacyjnego w Warszawie. Projekt przewidywał wartość produkcji 65 mln a koszt budowy 55 mln. Po zmianie cen na materiały budowlane ostateczna wartość została ustalona na 70 mln. Inwestycja o nazwie „Zamrażalnia i Przetwórnia Owocowo-Warzywna” ujęta została do planu inwestycyjnego na rok 1971 z 30-to miesięcznym cyklem budowy. Generalnym jej wykonawcą została Chemobudowa Kraków. Pomimo kłopotów dnia codziennego, jakie związane były z budową zamrażalni kierownik zakładu nie zapomina o rozwoju winiarni. Zadania produkcyjne ulegają ciągłemu wzrostowi. Szczególnie



mocno ulega rozbudowie baza surowcowa na własnym terenie. Rozszerza się forma kontraktacji u rolników. Z tego względu zakładowi przydzielono 33 wsie o obszarze ogólnym około 6 tys. ha użytków. W związku ze zwiększającymi się zadaniami produkcyjnymi z dniem 1 stycznia 1968 r. zakład został wydzielony na pełny wewnętrzny rozrachunek gospodarczy. Dyrektorem zakładu został Ob. Guzik Leopold – dotychczasowy kierownik administracji, a z-cą d/s produkcji Ob. Stanisław Artymiak, głównym księgowym Ob. Janina Juszczyk. W związku z eksportem przetworów załoga POW uczestniczyła w konkursie Aktywizacji Eksportu w pionie CRS, w którym w roku 1968 uzyskała I miejsce, a w latach 1969 i 70 II miejsce. Należy wspomnieć że w konkursie tym brało udział 70 zakładów objętych umowami z Przedsiębiorstwem Handlu Zagranicznego „Polcoop”. Jesienią 1970 r. Krakowskie Przedsiębiorstwo Budownictwa Przemysłowego Nr 2 jako generalny wykonawca rozpoczął budowę zamrażalni, kierownikiem budowy został inż. Stach. Z ramienia GS Żegocina dyrektorem w budowie został mgr inż. Jan Noworolski, który budowę doprowadził do końca a następnie po wybudowaniu zakładu został Naczelnym Dyrektorem.

Zimą 1973 r. jesteśmy w pełni usatysfakcjonowani. Na terenie podgórskim ostatecznym kosztem 78 mln powstała zamrażalnia jako jeden z 1 zakładów tego typu. W dniu 8 marca 1974 r. w Międzynarodowym Dniu Kobiet w świetlicy zakładowej zamrażalni zebrała się cała załoga – którą w większości stanowią kobiety – gdzie dokonano uroczystego przekazania do użytku obiektu zamrażalniczego. Pracownicy zachwycali się dużymi jasnymi pomieszczeniami socjalnymi i nowocześnie urządzoną halą produkcyjną. Wszyscy jednak oczekiwali 1-go uruchomienia urządzeń agregatorów chłodniczych. I to również znalazło swoje miejsce. W dniu 23 marca 1974 r. ruszyły do mrożenia 1-sze ilości warzyw. Załoga wyposażona w odpowiednią odzież i sprzęt zajęła miejsce w pakowni. A oto wypowiedź jednego z pracowników: „Chciałbym aby zamrażalnia nasza była



Święto Plonów Ogrodniczych organizowane przez ZiPOW z Łątki Górnej.





Święto Płonów Ogrodniczych organizowane przez ZiPOW z Łątki Górnej.

zakładem produkcyjnym i gospodarowała tak abyśmy mogli szczerzyć się jej wynikami i nie tylko my, ale całe społeczeństwo tutejszego regionu”.

Święto płonów ogrodnich organizowane przez ZiPOW w Łąckie Górnej.

W czerwcu 1976 roku Zakład przechodzi na własność i pod zarząd WSOP w Tarnowie. Działa na pełnym, wewnętrznym rozrachunku gospodarczym. W styczniu 1978 roku zakład przechodzi kolejną reorganizację, zostaje połączony z Zakładem Handlu w Bochni. Oba połączone zakłady otrzymują wspólną nazwę Zakład Przetwórstwa i Handlu. W maju 1981 r. została powołana Spółdzielnia Przetwórstwa Owocowo-Warzywnego „Zamvinex” w Łąckie Górnej. Spółdzielnię powołano 263 członków. 9 sierpnia 1981 roku odbyło się pierwsze Walne Zgromadzenie przedstawicieli na którym wybrano I Radę Nadzorczą oraz Zarząd Spółdzielni:

Rada Nadzorcza: Przewodniczący – płk. Władysław Rosiek – Kamionna, Wiceprzewodniczący – Ob. Leopold Guzik – Łącka Górna, Sekretarz – Ob. Anna Gawłowicz, Członkowie: Ob. Jan Zdebski – Grabie, Ob. Jan Kożuchowicz - Lipnica Murowana, Ob. Augustyn Mucha – Kamionna, Ob. Augustyn Dudek – Łącka Górna, Ob. Władysław Pączek – Łącka Dolna

Zarząd Spółdzielni: Prezes Zarządu – mgr Halina Budzyń, V-ce Prezes Zarządu – mgr inż. Kazimierz Dunan, V-ce Prezes Zarządu – mgr inż. Roman Wiercioch. Spółdzielnia objęła swoją działalnością: Gminę Żegocinę, Łapanów, Wiśnicz, Lipnica Murowana.

CDN



Działacze z Beldna. Czarna legenda podziemia niepodległościowego

Ma łamach portalu Stowarzyszenia Przyjaciół Ziemi Żegocińskiej (<http://www.spzz.zegocina.pl>) zamieszczony jest artykuł autorstwa Leopolda Grabowskiego pt. *Walenty Kłesk – Kawaler Orderu Virtuti Militari -1920*. Zainteresowany nieznaną mi sprawą dotyczącą „Salwowców” poprzez członków SPZZ otrzymałem również „Protokół przekazania sztandaru ludowego” przez Stanisława Grabowskiego ówczesnemu sołtysowi wsi Beldno, Stanisławowi Furtakowi w 2005 r. W obydwu tekstach pojawia się fragment dotyczący ukarania chłostą kilku działaczy ruchu ludowego w Beldnie. Początkowo, miała to być kara śmierci, którą mieli wykonać „Salwowcy”, skończyło się na wymierzeniu kary cielesnej. W obydwu dokumentach nie podano daty opisywanego zdarzenia. Czytając te teksty, już na pierwszy rzut oka można stwierdzić, że ich autorzy są mocno osadzeni w epoce PRL. Stanisław Grabowski (w 2005 roku!) używa określenia „banda” w stosunku do żołnierzy powojennego podziemia, zaczerpniętego z książek i prasy tamtej epoki. Obaj autorzy nie znają kontekstu historycznego opisywanego wydarzenia., nie zadali sobie trudu, aby choć w minimalnym zakresie zbliżyć się do prawdy. Wszystko to ma wpływ na budowanie w tym przypadku bardziej nieopatrzenie niż świadomie fałszywego obrazu podziemia niepodległościowego i utrwalanie istniejących na jego temat stereotypów. W ten sposób otrzymujemy zdeformowany obraz grupy maniaków napadających na niewinnych ludzi. Człowiek nieobyty w temacie, czytając taki tekst, zapewne nie zapala miłością do żołnierzy wyklętych.



Walenty Kłesk

Poniżej prezentuję pierwszy fragment z przytoczonego artykułu (zachowano pisownię oryginalną).

Po okupacji zaczęły się zwalczać oddziały różnych ugrupowań politycznych. Nie jest mi dokładnie wiadomo dlaczego Stronnictwo Ludowe zostało potraktowane przez ugrupowanie NSZ za wroga. Bowiem w przypadku przyjazdu do Bochni pociągiem Kiernika - bliskiego współpracownika Mikofajczyka, nasi Ludowcy poszli ze sztandarem na spotkanie do Bochni, za co uznani zostali za wrogą organizację i przez ugrupowanie "Salwy", w której rejon wodził "Mika", zostali przeznaczeni do rozstrzelania. W lesie Gródek doszło do dramatycznych scen. Walenty Kłesk, Grabowski Stanisław, Jachimczak Wojciech i jego syn Mieczysław zostali postawieni do rozstrzelania. Uratowała ich przytomność umysłu Walentego Kłeska, który otrzymanym Krzyżem Virtuti Militari tak zaskoczył

i zdeprymował "Salwę", że ten podobno zasałutował przed tym odznaczeniem, puszczając wolno Walentego Kłęska, natomiast pozostali [zostali] pobici przez „Mikę”.

Należy wiedzieć, że na wymienionym terenie nie dochodziło do zatargów między oddziałami różnych proveniencji. O współdziałaniu oddziału „poakowskiego” „Ścigacz”, i narodowego NOW (NZW) ”Pogrom” pisałem w Kwartalniku Wyklęci w artykule – *Dwaj bracia od „Salwy”*. Po rozwiązaniu wymienionych „w polu” pozostał tylko oddział „Salwy”, który powstał najpóźniej. W jego składzie znalazło się wielu żołnierzy tych dwóch rozwiązanych formacji. W szerszym tekście, autor podaje dowolnie, że działacze reprezentowali Stronnictwo Ludowe, a następnie Polskie Stronnictwo Ludowe, a to były dwie różne partie polityczne. Inicjatorem tej akcji, jak wskazano był „Salwa”, a wykonawcą Mika. Z pewnością, w akcji brało udział więcej partyzantów ale zostały podane tylko te dwie osoby. „Salwa” to kpt. Jan Dubaniowski ps. „Salwa” dowódca oddziału partyzanckiego, natomiast Mika to sierżant Józef Mika ps. „Wrzos” (w tekście źródłowym Mika zapisano w cudzysłowie, co może być mylnie traktowane jako pseudonim), zastępca dowódcy w oddziale wykonywał również wyroki śmierci.

Kapitan Dubaniowski ps. „Salwa” to pokrótce oficer zawodowy WP, żołnierz Kampanii Wrześniowej 1939, więzień niemieckiego Oflagu, oficer AK i jak już wspomniano, dowódca oddziału podziemia antykomunistycznego. W 2017 r. odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski. Autor na wstępie asekuruje się pisząc, że nieznane mu są motywy działania „Salwowców”. Nie zdaje sobie sprawy, spowodowanej brakiem wiedzy, że w jednym z kolejnych zdań wyjaśnia wszystko. Postanowiłem zatem za niego przedstawić kontekst wydarzeń.

Piszę, że działacze z Beldna wybrali się do Bochni na spotkanie z Władysławem Kiernikiem współpracownikiem Stanisława Mikołajczyka. Jest to niezgodne z prawdą. W rzeczywistości Kiernik był zdecydowanym przeciwnikiem Mikołajczyka. Optował za udziałem PSL we wspólnym bloku z komunistami. Wybiegając w przyszłość, gdy po sfałszowanych wyborach w 1947 r., w których zgodnie z prawdziwymi danymi ludowcy osiągnęli ogromny sukces, Mikołajczyk musiał uciekać na Zachód, to właśnie Kiernik został jednym z pretendentów do przywództwa w PSL, która stała się partią marionetkową w komunistycznym rządzie, a sam Kiernik piastował w nim szereg stanowisk. Nie ulega wątpliwości, że kpt. „Salwa”, który jako człowiek wykształcony i inteligentny był dobrze zorientowany w sytuacji na rodzimej scenie politycznej, słusznie zatem potraktował działaczy z Beldna jako zdrajców i popleczników komunistów. Nie wiemy czy działacze z Beldna zdawali sobie sprawę, kogo popierają. A jeśli wiedzieli, to czy podjęli współpracę z aparatem komunistycznym. Kpt. „Salwa” musiał posiadać na ten temat informacje.

Ze znanych mi dokumentów wynika, że na kilka rodzin z Beldna spadły represje za udzielanie pomocy oddziałowi „Salwy”. To on, jako dowódca oddziału podejmował decyzję, a żadna z nich nie była podejmowana pochopnie. Zarzuty musiały być ciężkiego kalibru skoro zdecydował o wykonaniu kary śmierci. „Salwowcy”, jak większość polskiej wsi opowiadała się za PSL (Mikołajczyka). Każdy, kto chociaż trochę zna realia powojenne wie, że PSL (Mikołajczykowski) było zwalczane na równi z podziemiem niepodległościowego. Znany działacz PSL (Mikołajczykowski) wójt gminy Łapanów, Jan Jarotek został zamordowany przez Urząd Bezpieczeństwa w Bochni właśnie za współpracę z oddziałem „Salwy”. Ucierpieli też inni działacze z regionu. Było to pokłosie słynnej zasadzki którą „Salwowcy” urządzili pod Grabowcem nieopodal Łapanowa, na wracających z wiecu komunistów. Trzeba pamiętać też o zbrodni UB w Rzeszotarach, gdzie od kul „szwadronu śmierci” zginęło trzech ludowców. Zamordowano ich we



własnych domach na oczach rodzin. W skali całego kraju ustalono aż 150 przypadków skrytobójczych mordów działaczy i sympatyków PSL (Mikołajczykowskiego). Innych zastraszano i zmuszano do rezygnacji z członkostwa w tej partii.

Jako argument na niewinność bohatera artykułu, Walentego Kłęska podano, że był on odznaczony orderem Virtuti Militari, a podczas okupacji niemieckiej należał do Batalionów Chłopskich. Dalej, zawarty jest emocjonalny opis machania przed kpt. „Salwą” wymienionym orderem, przed którym ten zasalutował. Pokazuje to tylko i wyłącznie szacunek oficera WP jakim był kpt. „Salwa” do tego odznaczenia. Wracając do „niewinności” Kłęska należy podkreślić, że znanych jest wiele przypadków przechodzenia na ciemną stronę mocy byłych żołnierzy AK, BCh NOW, NSZ, którzy następnie szkodzili dawnym kolegom. Należy zdać sobie sprawę, że przeważająca większość żołnierzy kpt. „Salwy”, jak i sam dowódca była pochodzenia chłopskiego i również była w AK, BCh i innych formacjach polskiego państwa podziemnego. Oni jednak i ich dowódca kpt. Salwa w przeciwieństwie do działaczy z Beldna umieli dobrze ocenić rzeczywistość, odróżnić dobro od zła, ziarno od plew.



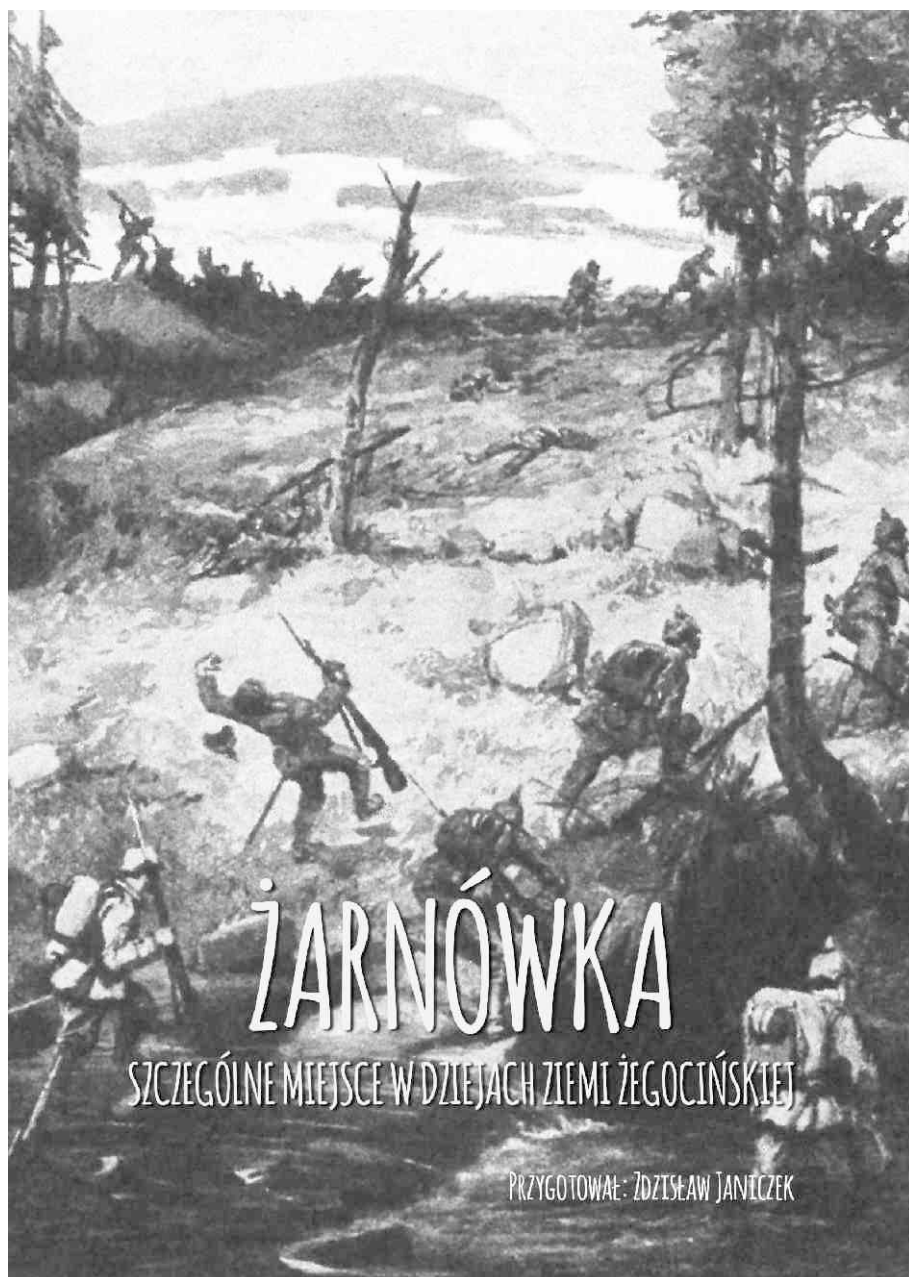
Sierżant Józef Mika ps. „Wrzos”.

Na zakończenie, przedstawiam drugi fragment. Ten jest nieco obszerniejszy i bardziej szczegółowy (zachowano pisownie oryginalną).

Pewnego dnia z bronią w ręku zaaresztowano kilku działaczy PSL w budynku po wypwiezionych Żydach w centrum wsi Beldno. Po krótkich oskarżeniach osądzono ich na karę śmierci. Przy przesłuchaniu dostawali po 50 kijów każdy. Kładziono ich na ławę i bijakami od cepów wymierzono sprawiedliwość za zapatrywanie polityczne i organizowanie miejscowych chłopów. Domagano się wówczas od nich wydania "zielonego sztandaru". Wśród osądzonych znalazł się Kłesk Walenty, Jachimczak Wojciech, Jachimczak Mieczysław, Rogala Renata i również Stanisław Grabowski, któremu jako pierwszemu wymierzono "sprawiedliwość". Na wieść o tragedii jaka rozgrywała się we wsi, miejscowi ludzie ruszyli na pomoc. Zbiegli się wokół budynku żydowskiego. Wśród nich była również żona Stanisława Grabowskiego z dwojgiem małych dzieci na rękach, która dobijając się do drzwi wołała o uwolnienie męża. Dowodzący bandą powiedział, że "gdyby nie te dzieci zostałby trupem". Z powodu coraz większego krzyku oraz gromadzenia się ludzi, banda strzelając z karabinów uciekła do lasu (ówczesna nazwa Gródek) zabierając aresztowanych. W budynku pozostał konający Stanisław Grabowski - chorąży sztandaru. . Wśród uprowadzonych był również Kłesk Walenty, którego oskarżono o zdradę Ojczyzny. On broniąc się odpowiedział, że był uczestnikiem I wojny światowej i otrzymał odznaczenie Virtuti Militari. Banda nie dowierając słowom, posłała jednego z współuczestników nakazując przynieść owe odznaczenie. Po potwierdzeniu prawdomówności Walentego Kłęska uwolniono razem z nim również Renatę Rogalę. Nakazano im powiadomić rodzinę Jachimczaków, aby zabrali pobitego Mieczysława Jachimczaka.



Żarnówka. Szczególne miejsce w dziejach ziemi żegocińskiej



ŻARNÓWKA - SZCZEGÓLNE MIEJSCE W DZIEJACH ZIEMI ŻEGOCIŃSKIEJ

Odzyskanie niepodległości przez Polskę stało się możliwe m. in. dzięki szczęśliwemu dla nas rozstrzygnięciu I Wojny Światowej i dzięki temu że podczas niej powstał związek sił zbrojnych przyszłej Polski. Ważne epizody na bojowym szlaku rozegrały się w grudniu 1914r. również w okolicach Żegociny a w szczególności wokół góry Żarnówka.

Poniżej przedstawione jest kalendarium I Wojny Światowej w Galicji w 1914r.
W kalendarium tym przytoczona jest również Żegocina i Łąka.

KALENDARYUM I WOJNY ŚWIATOWEJ W GALICJI

W kalendarium potraktowano bardziej szczegółowo działania bojowe mające miejsce na terenie opisanym w przewodniku. Starano się też powiązać historię walk z lokalizacją najważniejszych cmentarzy.

1914

- 30 VII Mobilizacja armii rosyjskiej.
- 31 VII Mobilizacja armii austro-węgierskiej.
- 1 VIII Mobilizacja armii niemieckiej.
- 23-25 VIII Bitwa spotkaniowa 1 A austriackiej i 1 A rosyjskiej pod Krasnikami
- 21 VIII Rosyjska 8 A przekracza Zbrucz i wspólnie z 3 A naciera na austriacką 3 A. Klęska Austriaków pod Złoczowem i odwrót na zachód.
- 26 VIII - 2 IX Austriacka 4 A odnosi zwycięstwo pod komarowem, ale w wyniku złej sytuacji na innych odcinkach frontu wycofuje się.
- 28 VIII Austriacy bezskutecznie kontruderzają na linii rzek Gniła Lipa i Złota Lipa (tzw. pierwsza bitwa pod Lwowem).
- 3 IX Austriacy oddają Lwów.
- 5 IX Początek drugiej bitwy pod Lwowem, zakończonej kolejną klęską Austriaków.
- 11 IX Rozkaz szefa austriackiego sztabu generalnego gen. Conrada o wycofaniu wojsk na linię Sanu.
- 16 - 20 IX Obrona przedmości nad Sanem w rejonie Sieniawy i Jarosława.
- 20 IX Rosjanie zajmują Jarosław.
- 20-21 IX Rosjanie osiągają linię Ustrzyki Dolne - Turka - Przełęcz Użocka.
- 26 IX Początek pierwszego oblężenia Przemyśla.
- 3 X Austriacy (2, 3 i 4 A) rozpoczynają kontrofensywę w kierunku Przemyśla.
- 4 X Sanok, Dukla i Jaślika zajęte przez Rosjan.
- 9 X Przerwanie blokady Przemyśla.
- 10 X Krosno w ręku Rosjan.
- 11 X Nierozstrzygnięty bój pod Chyrowem.
- 15 X Rosjanie zajmują Gorlice.
- 15-20 X Walki na północ od Jasła (Brzostek, Gorzejowa, Słotowa). Odwrót III i VII korpusu austriackiego.
- 31 X Wizyta arcyksięcia Karola na froncie galicyjskim.
- 5 XI Początek drugiego oblężenia Przemyśla.
- 9 XI Kwatera Główna armii austro-węgierskiej przenosi się z Nowego Sącza do Cieszyńska.
- 10 XI Rosjanie zajmują Tarnów.
- 16 XI Marsz głównych sił rosyjskich na linię Dunajca.
- Walki pod Zakrzowem i Zaborowem.
- 16-25 XI Bitwa na przedpolach Krakowa. Boje pod Czulicami, Karniowem, Kocmyrzowem, Niepołomicami i Skalą.
- 23 XI Polscy legionieści biorą jeńców pod Chyszówkami.

- 24 XI W krośnie instaluje się sztab 8 A rosyjskiej
- 20-25 XI Walki na linii Dobczyce - Droginia - Wieliczka, Charzewice - Domostawice i Porąbka - Okocim - Sterkowice.
- 28 IX Walki na linii Dziekanowice - Biechanów, Kocmyrzów - Chelm i Gawłów - Bogucice.
- 29 XI Walki pod Radłowem, Ujściem Solnym i Groblą.
- 1 XII Rosjanie po południowej stronie Karpat. W ich rękach Zborów, Bardów, Stropków i Medzilaborce.
- 2 XII Początek operacji limanowsko-łapanowskiej. **Walki pod Żegociną**, Tymbarkiem, Limanową i Starym Sączem.
- 3 XII Walki pod Łososiną, Skrzydlą, Krzesławicami, Górą Jana, Dobczycami i Łeluchowem.
- 4 XII Ataki i kontrataki obu stron na liniach Łapanów - Muchówka i **Żegocina** - Rajbrot. Boje w dolinach Dunajca i Popradu.
- 5 XII Fiasko austriackiej próby odzyskania Nowego Sącza. Walki pod Tymbarkiem, Rajbrotem, Trzcianą, Dąbrową Tarnowską i Szczucinem.
- 6-7 XII Walki pod Leszczyną, Krasnem, Słupią i Gdowem. 1 Brygada Legionów Polskich walczy pod Marcinkowicami i Pisarzową.
- 8 XII Ataki Austriaków i Niemców w kierunku Rajbrotu, Wiśnicza, Bochni. Początek walk pod Łąką - zdobycie przez Rosjan wzgórza Kobyła (613 m).
- Walki pod Jaworznią, Sobolowem, Grabiną, Buczyną, Wichrasem. Krzyżys bitwy pod Limanową.
- 9 XII Odbicie Kobyły z rąk Rosjan. Walki na wzgórzach nad Tarnawką i Stradomką oraz pod Rytrzem.
- 10 XII Dalszy ciąg walk o linię Stradomki i Tarnawki. Ponowna utrata Kobyły.
- 11 XII Bój o wzgórze Jabłoniec nad Limanową - śmierć dowódcy węgierskich huzarów, płk. Buhra. Odparcie rosyjskiego ataku na linię Leszczyna-Rajbrot.
- 12 XII Sztab rosyjskiej 8 A opuszcza Krosno. Austriacy atakują na przełęczach karpackich - pod Grabiem, Barwinkiem i Konieczną. Rosjanie opuszczają Gorlice. Zdobycie Gołcowa.
- 14-15 XII Walki na linii Czehów - Melsztyn. Rosjanie oddają Brzesko i Krosno. Atak austriacki na północ od Krosna, boje na linii Wisłoka i Bunajca.
- 16 XII Legiony Polskie wkraczają do Nowego Sącza.
- 20 XII Kontratakarce rosyjskie. Walki na północ od Jasła, na linii Gorzejowa - Skurowa - Słotowa - Przeczyca - Piłzno - Jodłowa i Zabawa - Borzęcin. Śmierć płk. von Rabla.
- 22-25 XII Legiony Polskie staczają krwawą bitwę pod Łowczówkiem i Meszną Opaką.
- 27-18 XII Boje na linii Sękówki, pod Dominikowicami i Męciną. Rosjanie ponownie wkraczają do Gorlic.

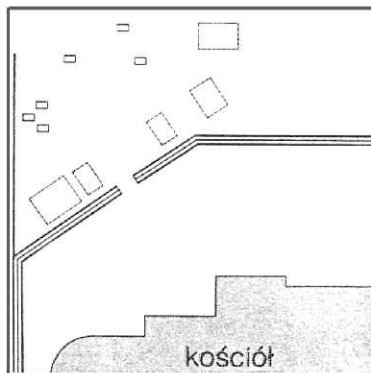
W okolicy Żegociny zginęło wielu żołnierzy, a liczne cmentarze przypominają o tamtych wydarzeniach.



ŻEGOCINA NR 301

Przy murze kościelnym, dojście przez teren przykościelny (→ 72).

✚ 11 Austriaków z 24, 25, 29 i 33 pułku piechoty; 68 Niemców z 217, 218, 219 i 220 pruskiego rezerwowego pułku piechoty, 147 pruskiego pułku piechoty, 19 pruskiego rezerwowego batalionu strzelców, 47 pruskiego rezerwowego pułku artylerii (w tym 2 oficerów i 9 podoficerów); 9 Rosjan z 147, 292 i 296 pułku piechoty, 7 mogił pojedynczych, 7 zbiorowych. Daty śmierci: 1914. Projektował Franz Stark. Mała kwatera wojenna na planie prostokąta, obecnie bez ogrodzenia, zarys nieczytelny. Wejście ujęte w kamienne słupy osłania gruby łańcuch. Na mogiłach zbiorowych duże betonowe stele z żeliwnymi tablicami imiennymi. Na mogiłach pojedynczych krzyże listewowe z tabliczkami. Brak pomnika centralnego. Tablica inskrypcyjna zdjęta lub zamurowana. Powierzchnia 459 m². Stan ogólny dobry, lecz zniszczone tabliczki mogił pojedynczych i część krzyży.



W cieniu Domu Bożego spoczywa tu 81 wiernych żołnierzy sprzymierzonych armii, austro-węgierskiej i niemieckiej.

Podczas walk w kościele w Żegocinie mieścił się szpital polowy. Leczyli tu swe rany m.in. polscy legioniści z oddziału kpt. Norwida, walczący wraz z oddziałami pruskimi o wzgórze Żarnówka.

ŻEGOCINA NR 302

W środkowej części cmentarza parafialnego, na wzgórku w odległości 400 m od kościoła. Przy drodze słup informacyjny.

✚ 22 Austriaków z 58, 83 i 95 pułku piechoty, 18, 33 i 35 pułku piechoty landwery, 24 i 29 batalionu strzelców polowych; 152 Niemców z 217, 218, 219 i 220 pruskiego rezerwowego pułku piechoty; 102 Rosjan z 50, 147, 292 i 296 pułku piechoty. 109 mogił pojedynczych, 54 zbiorowe. Daty śmierci: 1914.

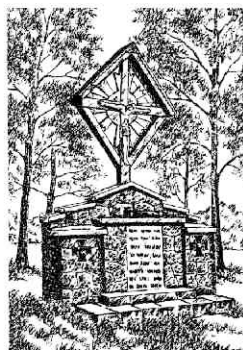


Projektował Franz Stark. Duża kwatera wojenna na planie prostokąta. Obecnie nie ma ogrodzenia, jego dawny zasięg wskazują rzędy starych drzew. Po ostatnim remoncie jest tu 13 wydłużonych mogił zbiorowych, ustawionych poprzecznie do alei i ujętych w betonowe krawężniki. Na większości betonowe stele z żeliwnymi tablicami imiennymi, na pozostałych krzyże żeliwne i listwowe dwóch typów. Na osi cmentarza stylizowany ołtarz polowy z dwuspadowym zwieńczeniem, a na nim drewniany krzyż łańcusi. Powierzchnia 276 m². Stan dobry.

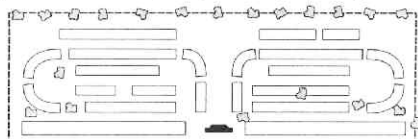
Z szarej codzienności przybyliśmy
przez próg życia odeszliśmy
Ze skroniami zwieńczonymi laurem.

Przy głównej alejce cmentarza parafialnego, na prawo od wejścia, mogiła kapitana Legionów Polskich Wojciecha Wróny, rodem z Bytomska, poległego nad Zbruczem 10V11 1920 r.

Rosjanie wkroczyli do Rajbrotu, zajęli okoliczne lasy, prowadząc ożywioną działalność patroli Kozaków, których mocno ostrzelwano z broni maszynowej, ręcznej, a też i artylerii stojącej na polach dworskich. W dniach następnych walk toczyły się r.3.3 Królowe, Polomi i we wsi. Rosjanom udało się przerwać linie obronne oddziałów węgierskich, a nawet zabrać wielu jeńców. W tym czasie zdarzył się wypadek jeszcze długo wspomniany po wojnie, a mianowicie jeden ze szrapneli austriackich trafił w ukryty przed Rosjanami poleć słonia, co wzbudziło wesołość wśród nich, a nawet nasmiewano się, że Austriacy strzelają słonia. Po kilku dniach Rosjani wyparła kawaleria węgierska przy silnym oporze w rejonie kościoła i Żarnówki, gdzie na pomoc przyszły wojska pruskie. Po skróconej walce około 4 po południu Żegocina została oczyszczona z Rosjan, a Żarnówkę zajęli Prusacy. Pobjawisko przedstawiało okropny widok, pola pokryte zabitymi Prusakami, Rosjanami, Austriakami. Obok mnóstwo broni i materiałów zabawianych przez Rosjan i ukrytych w okopach. Wojska nie mogły sobie poradzić z chowaniem zabitych, zmusiły do tego chłopów pod kierownictwem woźy Szymona Plecha. W 1917 r. Urząd Wojewski w Wiśniczu podał, że w okolicy Żegociny pochowano 59 Austriaków, 592 Niemców i 172 Rosjan (na podstawie: Marcin Krawczyk, Opisy zdarzeń wojennych w Żegocinie i okolicy w 1914 r., w zbiorach parafii Żegocina).



Pomnik centralny cmentarza 302



ŻARNÓWKA

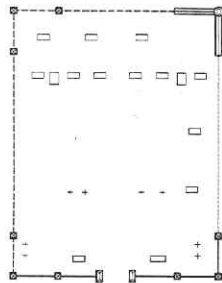
SZCZEGÓLNE MIEJSCE W DZIEJACH ZIEMI ŻEGOCIŃSKIEJ



ŁAKTA GÓRNA 304

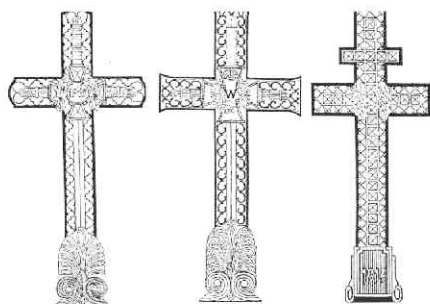
Na północnym krańcu wsi, wśród pól i zagajników, na prawo od drogi Żegocina — Muchówka (→76). Ma słup informacyjny.

✚ 25 Austriaków; 76 Niemców z 20 pruskiego pułku piechoty, 217, 219 i 220 pruskiego rezerwowego pułku piechoty, 19 pruskiego rezerwowego batalionu strzelców, 47 pruskiego rezerwowego pułku artylerii polowej. 4 mogiły pojedyncze, 14 zbiorowych. Daty śmierci: 6-8 X 11914.

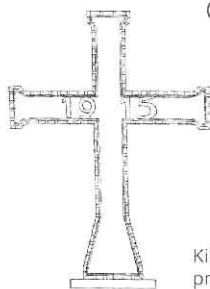


Projektował Franz Stark. Mały Cmentarz na planie Prostokąta, otoczony stalowymi rurami na kamiennych słupach. W jednym z narożników fragment muru zwieńczony kapliczką słupową z obrazem Chrystusa w koronie cierniowej we wnętrzu. Wyróżniająca się z otoczenia kapliczka ułatwia odnalezienie cmentarza. Na mogiłach betonowe stele z żeliwnymi tabliczkami imiennymi i dwuramiennie krzyże na betonowej podstawie. Bramka wejściowa przykryta drewnianą pergolą z krzyżami. Powierzchnia 384 m². Stan dobry.

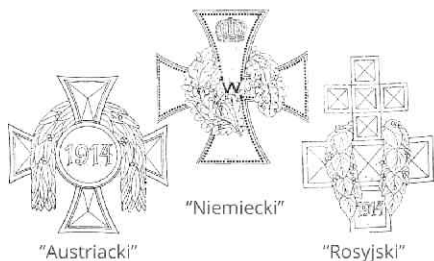
TYPOWE KRZYŻE NAGROBNE



Krzyż projektu Hansa Mayra (z lewej)



Kilka typów krzyży listwowych projektu Watzala (u dołu)

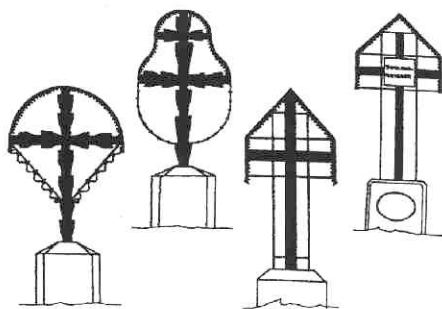


"Austriacki"

"Niemiecki"

"Rosyjski"

Krzyże projektu Gustawa Ludwiga (na mogiły zbiorowe - u góry, na mogiły pojedyncze - u dołu)



ŻARNÓWKA

SZCZEGÓLNE MIEJSCE W DZIELAJĄCY ZIEMI ŻEGOCIŃSKIEJ



SZLAK NA ŻARNÓWKĘ

Chcąc upamiętnić wydarzenia z I Wojny Światowej Stowarzyszenie Przyjaciół Ziemi Żegocińskiej im. Czesława Blajdy na wniosek Zdzisława Janiczka podjęło się opracowania Szlaku Spacerowo-Dydaktycznego na Żarnówkę. Z Tomaszem Pączkiem opracowali przebieg tego szlaku.

Zawarto porozumienie pomiędzy Gminą Żegocina a Nadleśnictwem.
W sprawie szlaku odbyło się spotkanie w Urzędzie Gminy Żegocina w obecności:

Jerzy Błoniarz - Wójt Gminy Żegocina

Zdzisław Janiczek - Sekretarz Stowarzyszenia Przyjaciół Ziemi Żegocińskiej (SPZZ)

Tadeusz Olszewski - Członek Zarządu SPZZ

Jan Saferna - Inżynier Nadzoru z Nadleśnictwa Brzesko

Grzegorz Zapala - Leśniczy z Leśnictwa Żegocina



*Obraz Korespondenta wojennego z 1914 roku.
Epizod walk w Łąckiej Górnej w tle góra Żarnówka*

Niestety jednak szlak ten nie doczekał się oficjalnego otwarcia.

Literatura:

1. Przedtem była Limanowa - Jan Wielek
2. Galicyjskie cmen



OPRACOWANIE Szlaku na Żarnówkę

statystyka

39:52
czas

28:35
czas ruchu

1:15:32
upłynięło czasu

3.8 km/h
średnia prędkość

5.3 km/h
średnia prędkość ruchu

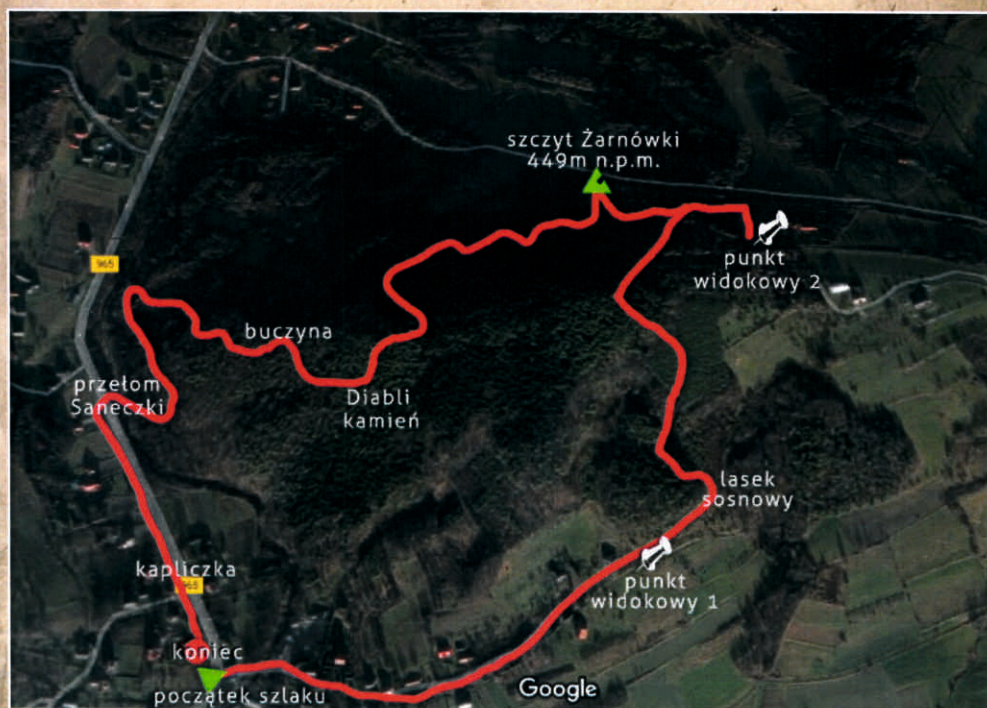
12.2 km/h
maksymalna prędkość

138m
wzrost wysokości

137m
spadek wysokości

319m
minimalna wysokość

449m
maksymalna wysokość





Diabli kamień



kapliczka



przełom Saneczki



laszek sosnowy

OPRACOWALI :
ZDZISŁAW JANICKI
TOMASZ PAĆK

[Handwritten signature]

MAY 2016 R



DAWNE DREWNIANE BUDOWNICTWO ŻEGOCINY I OKOLIC. Część druga

Niemal do XX wieku drewno stanowiło główny materiał budulcowy. Powstawały budynki mieszkalne, przemysłowe i obiekty sakralne. Dziś wiele z nich, ze względu na swój unikatowy wygląd i styl, budzi zainteresowanie na turystycznych szlakach, w miastach i na wsiach. Atrakcyjność takich miejsc spowodowała utworzenie wielu szlaków architektury drewnianej.

W części pierwszej artykułu przedstawiłem drewniane budownictwo mieszkalne, należące do chłopów. Ale przecież na wsiach istniały także drewniane dwory szlacheckie. W Rozdzielu były dwa, jeden w Rozdzielu Dolnym, drugi w Górnym.

Dwór w dolnej części wsi w 1827 roku był w posiadaniu Michała Marszałkiewicza, a 1867 roku dziedziczył ten dworek Maxymilian Garlicki, zaś w 1902 Samuel Rosenblum. Dwór rozpalcelowano w 1904 roku. W 1827 roku Michał Lewicki był dziedzicem dóbr dworu w górnej części wsi, w 1846 Jan Kanty Zabawski a ostatnim dziedzicem przed rozparcelowaniem - Roman Zabawski. Dziś pozostała w Rozdzielu Górnym tylko nazwa przysiółka „Dwór”. Po budynkach, ani śladu. Nie wiemy więc jak wyglądały te obiekty.

Dwory były także w Bytomsku (Sagatowskich) i Żegocinie (Gryberówka). O ich wyglądzie i historii także niewiele wiemy. Zachował się natomiast dwór w Łącku Górnej, zbudowany w latach 1871–1883 dla Feliksa Armatowicza, ale jest on obiektem murowanym.



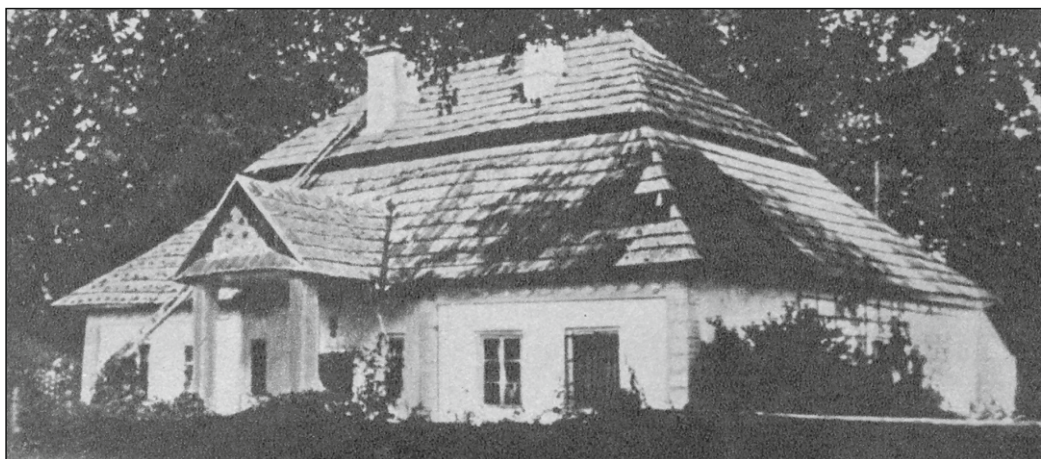
Wnętrze dworku w Laskowej.



Dworek w Laskowej.



Dworek z Rdzawy.



Dworek z Rdzawy.





Kościół pw. Św. Jakuba Apostoła w Rozdzielu Dolnym, parafia Żegocina.



Kościół pw. Św. Jakuba Apostoła w Rozdzielu Dolnym, parafia Żegocina.



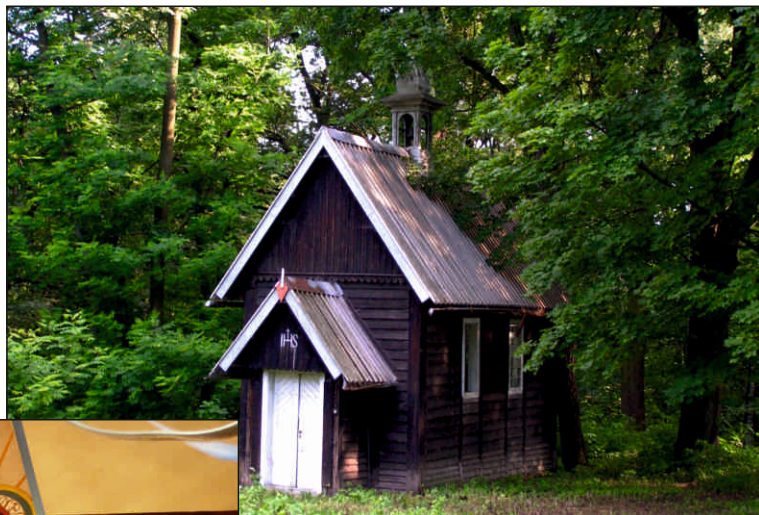


Wnętrze kościoła pw. Św. Jakuba Apostoła w Rozdzielu Dolnym.



Kapliczka „Pod lipami”, Rozdziele Dolne.





Kapliczka przy dworku Rutowskich w Łąckie Górnej.



Wnętrze kapliczki
„Pod lipami”
w Rozdzielu Dolnym.



Obecne wnętrze kapliczki przy dworku Rutowskich w Łąckie Górnej.



Wyobrażenie o wyglądzie i wyposażeniu dawnych dworów szlacheckich mogą dać nam dwa obiekty: dwór w pobliskiej Laskowej oraz dwór z niedalekiej Rdzawy, przeniesiony do Skansenu w Nowym Sączu.

Budynek dworu w Laskowej jest parterowy, wzniesiony na planie prostokąta, posiada ściany o konstrukcji zrębowej oraz czterospadowy dach łamany w stylu polskim, kryty gontem. Budynek posiada piwnice ze sklepieniami kolebkowymi. W ścianie zachodniej znajduje się główne wejście do dworu, pierwotnie poprzedzone drewnianym gankiem. Na osi dworu usytuowano sień. Na prawo od sieni mieściły się pokoje mieszkalne a na lewo reprezentacyjna sala nakryta bogatym manierystyczno - barokowym stropem podzielonym ramami na pola i dekorowanym stiukiem oraz polichromią z przedstawieniem Chrystusa i Ewangelistów. Pod stropem odkryto w 1976 roku się dekoracyjny fryz z ptakami. Opisywana sala pełniła niegdyś rolę kaplicy, gdy właścicielami dworu był zakon misjonarzy z Krakowa. Dziś obiekt zamieszkały przez prywatnego właściciela jest równocześnie muzeum, które można zwiedzać.

Zwiedzać można również dwór ze Rdzawy, ale trzeba się pofatygować do Skansenu w Nowym Sączu (Sądecki Park Etnograficzny), gdzie obiekt ten został przeniesiony w 1969 roku, decyzją Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków.

Historia rdzawskiego dworu zaczyna się na początku XVII wieku, kiedy to Rdzawa należała do Stradomskich z Kępanowa, którzy kupili ten majątek, by "wypożyczyć" córkę Elżbietę. To właśnie oni wybudowali w Rdzawie drewniany dom, którego ściany wchłonięły późniejszy dwór. Przypuszcza się, że było to po roku 1602, kiedy zginął ostatni z rodu Rdzawskich i przed rokiem 1624, który jest rokiem śmierci Stanisława Baranowskiego, męża Elżbiety.

Budynek dworski zbudowany został z modrzewia. Przypominał dawne siedziby szlacheckie z XVI wieku. W 1681 roku dwór miał już około 60 -70 lat, ale zmienił się nieznacznie od momentu swojego powstania. W późniejszych latach dwór zmieniał właścicieli, którzy wprowadzili w nim kolejne zmiany. Kiedy w 1969 roku rozbierano dwór w Rdzawie w celu przetransportowania go do Skansenu w Nowym Sączu, spod odpadającego tynku widoczne były fragmenty malowideł wykonanych przez zakonników z Trzciany (św. Marka od Pokuty), którym, po zniszczeniu trzciańskiej siedziby i kościoła, rdzawski dwór użyczył siedziby. W 1929 roku dwór został zarejestrowany jako zabytek. Po śmierci ojca w 1932 roku i matki w 1938 roku majątek przypadł Zbigniewowi Wesołowskiemu i jego siostrze Janinie z Wesołowskich - Kruczyńskiej.

W 1945 roku majątek Wesołowskich został rozparcelowany, pomimo że z uwagi na mały obszar nie podlegał ustawowej parcelacji. Po roku 1945 dwór stał pusty. Utworzono tam szkołę podstawową, ale o remonty już nie dbano. Niszczący dwór w 1969 roku rozebrano i decyzją Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków przeniesiono do sądeckiego skansenu. Przeniesienie to uratowało jego byt, chociaż dokonano tam kilka przeróbek, które w pewnym stopniu pozbawiły go oryginalnych cech stylowych (dotyczy to zwłaszcza dachu i ganku). Brakuje też w jego otoczeniu pięknego parku, który znajdował się w Rdzawie. Mimo to znakomicie pokazuje jak mieszkała tutejsza szlachta przed kilkoma stuleciami.

Dwór z Rdzawy jest budowlą drewnianą, parterową, założoną na planie prostokąta, z umieszczonymi na osi obszerną sienią i salonem. Wejście od strony zachodniej poprzedzał ganek wsparty początkowo na dwóch dębowych profilowanych kolumnkach, zamienionych podczas przebudowy przeprowadzonej przez Kajetana Wesołowskiego na murowane słupy.

Po przeniesieniu do sądeckiego skansenu dworek wyposażono w cztery, zgrupowane parami drewniane kolumnki. Elewacje są tynkowane gładko, zdobione narożnym boniowaniem oraz dekoracyjnie profilowanym w tynku gzymsem podokapowym. Całość wieńczy stromy łamany dach polski, kryty gontem, o dwóch



kondygnacjach połąci różniących się kątem nachylenia (obecnie nieco zmienionym w proporcjach). Od strony północnej czterokolumnowy ganek. Forma architektoniczna budynku nawiązuje do stanu z drugiej połowy XIX w.

W dwóch pomieszczeniach unikalne polichromie o tematyce sakralnej. Pochodzą z czasu, gdy dwór użytkowany był przez Zakon Kanoników Regularnych z pobliskiej Trzciany. Kanonicy mieszkali tu prawie przez pół wieku (II połowa XVII w.), wtedy powstały malowidła nawiązujące do tradycji zakonu.

Wyposażenie dworu nawiązuje do jego historii. Sale z polichromią zachowały charakter XVII-wiecznego wnętrza zakonnego, pozostałe pomieszczenia urządzono jako wiejskie mieszkanie szlacheckie z przełomu XIX i XX stulecia. Po prawej stronie gabinet pana domu i pokój pani, po lewej kuchnia dworska i jadalnia. Na ścianach w sieni XIX-wieczne tarcze rycerskie oraz herby właścicieli dworu: Korczak – rodziny Wesołowskich i Rawicz – rodziny Baranowskich. Gabinet pana to miejsce pracy i spotkań towarzyskich. Wyposażony jest w ozdobne meble m. in. szafę biblioteczną, rzeźbione biurko, stół do gry w karty i szachy. W pokoju liczne akcesoria myśliwskie. Z gabinetem sąsiaduje pokój pani, gdzie zrekonstruowano piec z ozdobnych kafli. Obok komplet mebli wypoczynkowych, lustro z konsolą, szasklona serwantka z serwisem do herbaty. Wystrój uzupełnia sześciogłosowa fisharmonia.

Po przeciwnej stronie sieni kuchnia z przejściem do jadalni, w jej rogu duży kuchenny piec kaflowy. Znajdują się tu: obszerny kredens, szafka z umywalką kuchenną, stół oraz różnego rodzaju sprzęty do przygotowywania i podawania jedzenia. Sąsiednie pomieszczenie to niewielka jadalnia z rozkładanym stołem, kredensem i szafkami na ozdobne naczynia.

Dwa piękne sakralne obiekty drewniane znajdują się w Rozdziele Dolnym. To zabytkowy kościół pod wezwaniem Św. Jakuba Apostoła oraz Kaplica pod wezwaniem Niepokalanego Serca Najświętszej Maryi Panny w Rozdziele, zwana potocznie „Pod Lipami”.

Znajdujący się na Małopolskim Szlaku Architektury Drewnianej kościół pod wezwaniem Św. Jakuba Apostoła, został do Rozdziała sprowadzony z Królówki, w której został zbudowany już w XIV wieku, a potem w czasach króla Zygmunta Augusta (1563 rok) został gruntownie przebudowany i wyposażony z królewskiej fundacji. Według podań mieli w nim przebywać królowie polscy, których własnością była Królówka (m. in. Zygmunt II August oraz Władysław IV Waza, dla którego wybudowano specjalną lożę z okienkiem, która zachowała się do dnia dzisiejszego). W 1791 ochrzczono w nim poetę Kazimierza Brodzińskiego – prekursora polskiego romantyzmu. W 1850 do prezbiterium do prezbiterium dobudowano kapliczkę Ogrojcową, w 1876 roku do nawy dostawiono kaplicę, a w latach 1886–96 przedłużono nawę kościoła. Po latach kościół stał się jednak za ciasny i rozpoczęto budowę nowej świątyni. Po ukończeniu nowego kościoła, w 1947 stary kościół przeniesiono na cmentarz parafialny w Królówce (ołtarze zaś do nowego kościoła), gdzie miał być muzeum ku czci Kazimierza Brodzińskiego. Potem pojawiły się plany, aby zabytek przenieść do pobliskiej Cichawki,

W 1983 roku ks. Antoni Poręba – żegociński proboszcz – wystąpił z inicjatywą przeniesienia zabytkowej świątyni do Rozdziała. Mieszkańcy tej wsi w okresach letnich spotykali się na niedzielnych Mszach Św. w niewielkiej Kaplicy pod Lipami, w inne święta szli do odległej o kilka kilometrów Żegociny. Po uzgodnieniu formalności i za zgodą biskupa przeniesiono kościół, który stanął na działce ofiarowanej bezinteresownie przez śp. Stanisława Marcisza. Kościół przewiozła i zrekonstruowała grupa cieśli z Rozdziała pod przewodnictwem Stanisława Parucha. W 1984 postawiono fundamenty, aby stał na kamieniu, a w 1986 świątynia służyła już mieszkańcom.

Nawę świątyni przykrywa strop płaski z zaskrzynieniami, wsparty na słupach. Kościół oszalowany jest wewnątrz i na zewnątrz. Prezbiterium jest węższe od nawy,



zamknięte trójbocznie. Z lewej strony do prezbiterium przylega zakrystia, a do nawy kaplica św. Józefa z 1876 roku. Nad wejściem głównym chór muzyczny. W kaplicy drugi chór - łoża królewska. Od frontu do budowli przylega duża kruchta. W wejściu bocznym ostrólkowy portal z herbem Topór z XV wieku. Dach, o gotyckiej wysmukłości, z gontową kopułą zwieńczoną wieżą. przykryty jest gontem.

Większość wyposażenia kościoła w Rozdzielu pochodzi z XXI wieku, gdyż stare nie zachowało się lub powstało w nowym kościele Królówce. Jest jednak kilka elementów przeniesionych z innych kościołów. Najstarsze elementy wyposażenia to: renesansowe chrzcielnica i kropielnica z 1540 roku, zrekonstruowana przez miejscowego kamieniarza Jana Stacha w 1987 roku, stacje Męki Pańskiej z XVII wieku, znalezione na starej plebanii w Żegocinie, konfesjonał z XVIII wieku przeniesiony z Trzciany, dwukrotnie spowiadał w nim ks. Karol Wojtyła - wikary z Niegowici, późniejszy papież Jan Paweł II.

Ołtarz główny w kościele w Rozdzielu z rzeźbą św. Jakuba Apostoła i obrazem "Przemienienie Pańskie", namalowany przez Janusza Antosza w 2016 roku na zasuwie, został zrekonstruowany w 2016 roku. Wykonany jest przez Antoniego Pasionka z Jaworznej w stylu rokokowym. Ołtarze boczne - pseudobarokowe z końca XIX wieku wykonane w warsztacie Wojciecha Samka w Bochni. Przeniesione z kościoła w Starym Wiśniczu i odnowione w 2016 roku; ołtarz boczny prawy - z obrazem Jezusa Miłosiernego; lewy - z obrazem Matki Bożej z Dzieciątkiem Jezus z 1860 roku namalowany w Oświęcimiu przez Jana Stankiewicza.

Neogotycki ołtarz z XVI I wieku w kaplicy bocznej przeniesiony został tu z kościoła Najświętszego Serca Pana Jezusa w Nowym Sączu.

Drewniana kaplica pod wezwaniem Niepokalanego Serca Najświętszej Maryi Panny w Rozdzielu ma swoje początki w 1846 roku, czyli w roku rabacji chłopskiej. Wówczas przy dawnym trakcie przez Łopusze do Rajbrotu, pomiędzy wiekowymi lipami dziedzic wsi Rozdziele Dolne ufundował kamienną figurę Najświętszej Maryi Panny. Złożył on bowiem śluby Maryi, że jeśli zostanie uratowany, ufunduje jej figurę. Faktycznie, w okolicznych wsiach wymordowano dziedziców, a w Rozdzielu pan dworu ocalał, gdyż chłopci ukryli go w jednej ze stodół. Rozwścieczony tłum splądrował dwór, ale nie targnął się na życie szlachcica.

Od początku figura była uznawana za cudowną. Ludzie przychodzili do Matki Bożej Rozdzielskiej ze swymi problemami, które się w cudowny sposób rozwiązywały. Te modlitwy i pobożność ludzi nasunęła ks. Michałowi Krawczykowi (1884 – 1973) z pobliskiej Kamionki Małej pomysł wzniesienia drewnianej kaplicy. Dziękował również w ten sposób Matce Bożej Rozdzielskiej za przeżyty I i II wojnę światową. Kaplicę na prośbę fundatora zaprojektował w stylu zakopiańskim architekt Longin Kokociński z Poznania. Okoliczni chłopci dali budulec i wykonali częściową robociznę. W tamtych czasach ciężko było o pozwolenie na tego typu budowlę. Wiele przykrości z powodu budowy miała Małgorzata Paruchowa, która z ramienia fundatora prowadziła budowę kaplicy. Prace nakazano zatrzymać, a istniejące już mury rozebrać. Pomimo przeciwności budowę zakończono i kaplicę poświęcił ks. Mikołaj Piechura - proboszcz w Trzcianie, dziekan dekanatu lipnickiego i rodak z Rozdziała w dniu Zesłania Ducha Świętego - 22 maja 1961 roku.

Powstała drewniana kaplica z podcieniami na całą szerokość. Budynek nakryty jest dachem dwuspadowym z półszczytem od frontu oraz czworoboczną wieżyczką z sygnaturką na kalenicy.

W okresach letnich odprowadzane były w niej msze święte. W latach 1970 - 86 w kaplicy przechowywany był Najświętszy Sakrament. Od 1986 roku, gdy w Rozdzielu stanął kościół, kaplica nie spełnia już roli kaplicy mszalnej, mimo to wciąż jest bliska sercom parafian. Na coroczny czerwcowy odpust przybywa dużo pielgrzymów z odległych nawet okolic. Do kaplicy podąża również procesja w Nabożeństwo Fatimskie (13 sierpnia).



Odprawiane tu są nabożeństwa majowe i różańcowe, a także Różańce Fatimskie. Figura w ołtarzu głównym uznawana jest za cudowną i otoczona jest wielkim kultem i umiłowaniem ze strony mieszkańców. Kamienny posąg przedstawia Najświętszą Maryję Pannę w białej sukni i niebiesko-zielonym płaszczu. Ręce ma skrzyżowane na piersiach na znak czystego serca. Na głowie ma białą chustę. Stoi na kuli ziemskiej i depta nogami węża.

Wnętrze kaplicy jest otynkowane i pomalowane na biało, a z zewnątrz oszalowane. Wchodząc do kaplicy na pierwszym planie drewniany ołtarz z łaskami słynącą Figurą Matki Bożej Rozdzielskiej. Za ołtarzem widnieją dwa malowidła przedstawiające aniołów z kadzidłami. Po bokach znajdują się dwa malowidła przedstawiające objawienia Matki Bożej w Lourdes i Fatimie. Figurę otaczają liczne vota dziękczynne. Pomiędzy oknami są namalowane postacie św. Szymona z Lipnicy i św. Kingi. Nad drzwiami malowidło naścienne pt. "Chrzest Polski 966". W latach 2017 – 2019 kaplica została odremontowana i lepiej zabezpieczona przed skutkami negatywnego wpływu zjawisk pogodowych.

Nieco mniejsza, dziś już nieczynna, opuszczona, częściowo zrujnowana i z każdym dniem niszcząca coraz bardziej drewniana kapliczka znajduje się także w parku dworskim w Łąckie Górnej.

Według legendy kapliczkę w tym miejscu zbudował pewien szlachcic, który był napadnięty przez wilki i uratował się właśnie w tym miejscu. Za uratowanie życia zbudował kapliczkę. Oczywiście była to inna, niż stojąca dzisiaj, kapliczka. Potem w tym miejscu, w latach 20-tych XX wieku kapliczkę zbudowali właściciele dworu – Państwo Irena i Adam Rutowscy. Została zbudowana w konstrukcji słupowej. Adam Rutowski sprowadził do niej obraz z wizerunkiem Matki Boskiej Nieustającej Pomocy namalowany prawdopodobnie przez kogoś z jego rodziny. Od tego momentu mieszkańcy dworu i obu łąk uczestniczyli w niedzielnych nabożeństwach odprawianych w tej kaplicy. Pani Irena Rutowska do tej kapliczki przychodziła, modliła się i śpiewała pieśni majowe z innymi pracownikami dworu. Po II wojnie światowej majątek dworski został przejęty przez Skarb Państwa i przekazany krakowskiemu przedsiębiorstwu „Chemobudowa” jako ośrodek kolonijny. W tym samym czasie zabroniono odprawiania liturgii w tym miejscu.

Wdzięczny za uratowanie życia w styczniu 1945 roku zarządca dworu Kupczyn odnowił kapliczkę, zwłaszcza ołtarz zrobiony przez nieżyjącego już Juliana Adamczyka z Łątki Górnej. Tym sposobem na ołtarzu znalazło się godne miejsce dla obrazu Matki Boskiej Nieustającej Pomocy, który został namalowany przez księdza Stachonia z Rozdziela. Pan Kupczyn zamówił także u miejscowej malarki Anny Łękawy dwa mniejsze obrazy do bocznych części ołtarza, które przedstawiały św. Mikołaja i św. Jana Bosco. W kapliczce, jeszcze po wojnie, odbywały się w niedziele msze święte, lecz wkrótce komunistyczne władze zabroniły ich odprawiania.

Dziś kapliczka stoi w pełnym zapomnieniu a jej wnętrze zostało przez wandalów zdewastowane. Niekompletny, pusty ołtarz i zasypane kurzem ławki, hulający w środku wiatr – to dosyć ponury obraz łąckiej kapliczki.

C.D.N.

Źródła:

1. Drózdziak Piotr "Dwór rzuconej klątwy", artykuł w "Gazecie Krakowskiej; 16 marca 1999 r.
2. Marcinowska Maria "Dwór pełen barw"; Muzeum Okręgowe w Nowym Sączu 1997.
3. Katarzyna Niewidok, Matka Boska Rozdzielska. Pamiątka 1846 roku, Brzesko – Rozdziele Dolne 2018
4. Verbum villa. Słowo wsi. Pismo Mieszkańców Rozdziela Dolnego i Górnego, nr 1, lipiec - sierpień 2017



Wędrówka za chlebem. Wspomnienia byłej górniczki - Genowefy Wieczorek z Laskowej



Genowefa Wieczorek - górniczka z Laskowej, fot. Janusz Głogowski.

Arodziłam się w 1932 roku w Laskowej w rodzinie chłopskiej, jako druga z pięciorga rodzeństwa. W domu, jak to mówią, nie przelewało się, raczej była bieda.

Z natury, byłam energiczna, nie bałam się żadnej pracy. Dlatego pewnego dnia postanowiłam ulżyć w biedzie i zarabiać pieniądze, aby w ten sposób pomóc rodzinie, tym bardziej, że ojca nie było już na świecie. Za namową koleżanki pojechałam do Nowej Huty w Krakowie, która była w budowie. I zostałam tam przyjęta do pracy. Był to rok 1952. Ja wtedy miałam zaledwie dziewiętnaście lat. Praca w Hucie nie była ciekawa, pracowałam przy różnych robotach, praca ta była czasem ciężka i nie podobała mi się. Była nudna. Mało zarabiałam.

Zrezygnowałam z niej. Wiedziałam, że w tym czasie Śląsk potrzebował rąk do pracy, powstawały tam nowe kopalnie i huty, a nawet nowe miasta, jak np. Tychy. Tam można było zarobić więcej, aby utrzymać siebie i jeszcze posłać pieniądze mamie na utrzymanie młodszego rodzeństwa.

Zwolniłam się z pracy w Hucie. I tak, przypadkowo znalazłam się w małym miasteczku, Radlinie Śląskim koło Rybnika. Była tam stara Kopalnia Węgla Kamiennego



„Marcel”, której początki sięgają 1858 roku. Poszłam do kopalnianego biura zatrudnienia i po wstępnych rozmowach zostałam przyjęta do pracy na powierzchni kopalni. Zatrudniono mnie w Zakładzie Mechanicznej Przeróbki Węgla. Pracowałam przy odbieraniu „gutałinu”, jak na to mówiono, to znaczy wilgotnych placków mułu węglowego. Praca była ciężka i mało płatna. Dlatego chciałam przenieść się do pracy w przykopalnianej elektrociepłowni. Nie wyrażono na to zgody. Zaproponowano mi pracę na dole kopalni. Nie zastanawiając się, podjęłam tę decyzję. Po odpowiednim przeszkoleniu przyszedł moment zjazdu na dół kopalni.

Najpierw zjeżdżałam na dół z instruktorem zawodu. Oswajałam się z dołem kopalni, z tą niewyobrażalną ciemnością i panującym tam klimatem. Po paru dniach przyuczenia przydzielono mnie do, o ile dobrze dzisiaj pamiętam, do oddziału piątego - wydobywczego. Pracowałam przy obsłudze jednego z wielu przenośników taśmowych, którymi pod szyb transportowano urobek ze ściany węglowej. Mój przenośnik miał może ze 150 metrów długości. Praca przy nim polegała na tym, że przyciskałam „knefel”, czyli włączałam przenośnik, na sygnał ze ściany, że będzie szedł urobek. Oprócz tego musiałam czujnie obserwować przenośnik - ten, który był przed moim przenośnikiem, czy jest w ruchu. Bo gdyby stał, to mógłby mnie zasypać urobek ze ściany. A to, co słyszałam, to takie przypadki śmiertelnych wypadków były już na kopalni.

Moim obowiązkiem było również utrzymywanie w czystości chodnika, bo z taśmy ciągle sywał się urobek. Większe bryły ładowałam ręcznie z powrotem na taśmę, a drobny, łopatą zwaną „hercówką”. Ta praca na dole kopalni nawet mnie pociągała. Mimo, że była ciężka i niebezpieczna to przede wszystkim, nie była nudna. Była za to o wiele lepiej płatna niż gdzie indziej.

Problemem było codzienne trafienie do mojego stanowiska pracy. Nigdy sama nie mogłam tam trafić. Na dole kopalni nie ma nazw, tak jak oznaczone są ulice w mieście. Trzeba było kierować się jakimiś szczegółami, które należało zapamiętać. Ja byłam obowiązkowa, sumienna i zdyscyplinowana, dlatego na dół kopalni zjeżdżałam pierwszą klatką, czyli windą górniczą. Szłam na stanowisko sama i nigdy nie mogłam trafić na swój przenośnik. Drogę oświeślałam sobie lampą górniczą, czyli „karbidówką”. Aż wreszcie wpadłam na pomysł, aby na dole, na podszybiu zaczekać na górników z mojego oddziału. Idąc z nimi do oddziału trafiałam na swoje stanowisko pracy. Po skończonej pracy razem z nimi też wracałam pod szyb do wyjazdu na powierzchnię ziemi.

Dzisiaj, z perspektywy upływającego czasu wspominam, że najgorszą rzeczą była droga do stanowiska pracy. Wyrobiska były bardzo niskie, idąc trzeba było się mocno schylać, a miejscami nawet iść na czworakach. Panująca ciemność, hałas, zapylenie nie męczyły mnie tak, jak dojsście i powrót ze stanowiska pracy.

Wówczas, praca na dole kopalni bardzo mnie pociągała, była ciężka i niebezpieczna, ale dla mnie bardzo ciekawa. Lubiłam ją. Jedyne, czego mi na Śląsku brakowało, to tych szumiących wokół mojego domu drzew, wspaniałego widoku zielonych gór i ciszy.

Prawdopodobnie na kopalni bym pracowała aż do emerytury. Jednak ze względu na pogarszający się stan zdrowia mojej mamy, postanowiłam wrócić „na swoje”, do Laskowej.

Oprócz mnie, na dole kopalni pracowało jeszcze wiele kobiet. Górnicy z początku odnosili się do mnie z dużą rezerwą. Gdy zorientowali się, że jestem odważna, energiczna, sumienna i robotna, zaczęli darzyć mnie dużym szacunkiem. Zaczęli mnie traktować jako



„swojego” i na każdym kroku mi pomagali, gdy zachodziła taka potrzeba, służyli radą.

Pyta Pan, czy może dzisiaj żałuję tych dni i miesięcy przepracowanych w tak młodym wieku na dole kopalni z dala od rodzinnego domu? Absolutnie nie, nie żałuję ich.

Jak wspomniałam, pracowałam w kopalni, aż do „pensji”, jak mówią górnicy, czyli do emerytury. Los zarządził inaczej. Praca w górnictwie zahartowała mnie w dalszym życiu, wiele nauczyła, dużo ciekawych rzeczy zobaczyłam. Tu, w Laskowej wyszłam za mąż, wychowałam czworo dobrych dzieci. Teraz, gdy tylko jest ciepło, siedzę sobie pod domem, w pobliżu ogromnej lipy, spozierając na okoliczne lasy i góry i cieszę się tą ciągłą, przenikliwą ciszą która tu panuje. Chociaż w życiu zawsze ciężko pracowałam, nie oszczędzając się, doczekałam się długich lat życia, ciesząc się jeszcze dobrą pamięcią i względnie dobrym stanem zdrowia. Za co Bogu dzisiaj bardzo dziękuję. To, co dotychczas robiłam w życiu - niczego nie żałuję. Jedynie czego żałuję, to tylko tak szybko upływających moich pięknych i ciekawych lat życia.

Wspomnienia Pani Genowefy spisał Janusz Głogowski.

Od Redakcji

Wspomnienia pani Genowefy Wieczorek są znakiem obecności naszych rodaków na śląskiej ziemi. Wielu z członków naszych rodzin wyjeżdżało w latach 50-tych i 60-tych na Śląsk w poszukiwaniu pracy, do budujących się tam intensywnie kopalń. Wielu z nich pracowało w kopalniach w pocie czoła, nie mniejszym niż na rolnej ziemi, pokonując w sobie strach przed wypadkiem czy nieustającą i wszechobecną ciemnością. Wielu wracało szybko z tych prac, nie mogąc przełamać się i znieść klaustrofobicznych realiów pracy górniczej. Tym artykułem wyrażamy szacunek wszystkim naszym krajanom, którzy zdecydowali się na pracę w podziemiach, między bogactwem śląskiej ziemi, a nieodłącznym jego towarzyszem, morderczym wręcz, znojem.



Dwa domy - wspomnienia

Zacznę od opisu mojego pierwszego domu i miejscowości, w której się urodziłem i spędziłem dzieciństwo. Trochę geografii i przy okazji folkloru. Wsie – Łąka Dolna i Łąka Górna, z których pochodzili moi rodzice, leżą przy trasie z Bochni do Limanowej (droga nr 965) - 20 km od Bochni. Do Łąki Dolnej skręca się w prawo przed mostem na Potoku Saneckim i do naszej ojcowizny jest 3 km drogą lokalną (asfaltową). W latach 50 – tych była to droga szutrowa, a mówiono na nią „gościniec” (biegnij do gościńca). Na tym gościńcu mieszkańcy wsi odrabiali szarwark, czyli prace społeczno - użyteczne, obowiązkowe do 1955 roku, polegające na naprawie nawierzchni żwirem wybieranym z rzeki.

Łąka Dolna jest położona w dolinie wspomnianego Potoku Saneckiego, który wpływa do Stradomki i potem do Raby. Pięknie to widać z Leszczyny, gdy się jedzie drogą nr 966 od Muchówki w kierunku na Gdów. Na południu widoczna jest na pierwszym planie Góra Kamionna (801 m n.p.m.), a w oddali po lewej Pieniny, po prawej zarys Beskidów. Swe piękno okolica zawdzięcza ciągnącym się wzdłuż rzeki na północ i południe od niej podwyższeniom terenu tzw. Działem. Były więc Działy północne, ciągnące się od szosy bocheńskiej do Cichawki i Działy południowe – od tej samej szosy przez Kierlikówkę, Ujazd w kierunku Myślenic.

Jak są Działy to jest i Poddziele i Zadziele. Ale jest również Nadole, Nagórze, Półrolki. Było również Miasto - dwa domy! Było w zwyczaju dodawanie tych nazw do imion gospodarzy. Był więc Józek spod Dziołu (w Łąckie nie wymawia się a tylko o), Franek z Dziołu, a coś można było znaleźć za Dziołem. Nazewnictwo ubarwiało również przekraczanie lub skracanie imion. Była więc Antośka, Ludwicka, Rejna, Margośka, Filek itp.

W takie sąsiedztwo dostali się moi rodzice po ślubie w 1932 r. Ojciec pochodził z Łąki Dolnej, a mama z sąsiedniej Łąki Górnej od Wronów (spod Przylasku – tam też było bogactwo nazw przysiółków). Obydwoje chodzili do kościoła w Żegocinie i pewnie tam się poznali.

Ich domy rodzinne to typowe chłopskie chaty z okolic Krakowa – dwuizbowy dom połączony ze stajnią dla bydła. Główna izba pełniła rolę kuchni i w niej skupiało się całe życie. Miała 25 – 30 metrów kwadratowych powierzchni i jej głównym elementem był piec kuchenny i tzw. piekarski.

Jak te piece wyglądały w tych domach – nie pamiętam, mimo że pewnie jeszcze stały w czasie, gdy mnie tam jako dziecko prowadzano. Według wiedzy Stasia, mego brata, były wymurowane z kamienia, wyłożone cegłą szamotową, a na zewnątrz otynkowane. Na piekarskim piecu na pewno było miejsce do spania, bo Mama wspominała jak tam było przytulnie i ciepło.

Oba te domy początkowo były bez kominów z tzw. dymną izbą. Dym z pieca wychodził przez otwór w suficie (powale) lub przez otwór w ścianie do sieni. U Cempurów komin wybudowali ok. 1905 r. Drewniane podłogi pojawiły się też dopiero po I wojnie, a u Wrony pamiętam jeszcze gliniane klepisko na pewno około 1950 r. Identyczny dom postawił nasz ojciec Filip na działce, którą otrzymał od swojego ojca.

Już z samą działką były problemy, bo dziadek Wojciech kupił ją wbrew woli Żyda, z którego polem sąsiadowała i on potem podobno mścił się na nowych właścicielach. Działka była długa 500 m, wąska 50 m i ciągnęła się od drogi (gościńca) na południu, do sąsiada (wspomnianego Józka spod Dziołu) na północy. Około 300 m od gościńca zaczynała się górka z małym płaskim placem wystarczającym do posadowienia zabudowań. To podniesienie terenu dawało piękny widok na pasmo wzgórz: Kamionnej, Żarnówki i Ujazdu.

Było to na tyle atrakcyjne miejsce, że kilkadziesiąt lat później pani architekt z Krakowa, szukając miejsca pod nowy dom na tej samej parceli powiedziała do Ojca: *Oj Panie Filipie, zajął mi Pan najfajniejsze miejsce. I rzeczywiście nie znalazła lepszego położenia.* Nowy dom został zbudowany przy samej drodze, ale widok z tego domu jest już nieciekawym.

Te dwa szczegóły położenia rodzinnego domu utkwiły mi w pamięci, bo miały niemały wpływ na nasze życie codzienne. „Górka” była bystra, i aby dojechać do domu trzeba ją było pokonać. Droga prowadziła na krótkim odcinku wąwozem, w którym mieścił się tylko wóz, a poganający zaprzęg szedł górą. Ten zaprzęg to jeden z niepowtarzalnych elementów gospodarstwa Filipa Cempury. Ale o nim później, bo najpierw trzeba było zbudować dom.

Od rodzinnego domu ojca na plac budowy było ponad dwa km. U Cempurów była para koni, a dziadek Wojciech i bracia ojca: Wawrzyniec i Stanisław pomogli przy budowie. Trzeba było nawieźć kamienia na fundament i drewna na cały dom i stodołę. Ściany domu były z bali, strop drewniany (stragaże) i podbitka z desek, na to laski (trzcina) i tynk wapienny. Dom dwuizbowy z przegradzającą je sienią i przylegająca bezpośrednio do głównej izby (kuchni) stajnią, zbudowany na planie prostokąta 20 x 10 m. Wejście do domu od południa po 3 stopniach z kamienia, a wyjście na północ na poziomie gruntu, co ojciec bardzo sobie chwalił, zwłaszcza w porównaniu z przyszłym nowym domem z kilkunastoma stopniami prowadzącymi na parter. Izba po prawej stronie sieni (izdebka) była podpiwniczona, i była to piwnica na ziemniaki. Drugą piwnicę (pod spiżarnią) - na warzywa i jabłka - ojciec wykopał w końcu lat 40-tych. Przez jakiś czas tato kupował w jesieni jabłka, aby je przechować i na wiosnę drożej sprzedać. Biznesu na tym nie było, bo jabłka gnily, a gryzonie małe (i te większe czyli dzieci) podgryzały. Ale to było za moich czasów. A wcześniej?

Pierwszego domu zbudowanego przez ojca w 1934 roku nikt z nas nie pamięta, bo się spalił. Był kryty słomianą strzechą, podobnie jak stodoła, i to właśnie w nią w lipcu 1937 r. uderzył piorun. Ojca nie było w domu, pracował za Dziołem, ale usłyszał, że blisko uderzyło, wybiegł na drogę, z której było widać nasz dom. Niestety paliła się cała stodoła, a dom był kilkanaście metrów od niej. Nikt mu czasu nie mierzył, ale rekord na 1500 m chyba pobił. Straży pożarnej nie było, a sąsiedzi z wiadrami nie mieli żadnych szans. Wyprowadzili krowę, a z domu pomogli mamie wynieść pierzynę. Zabrała 4-letnią Marylkę, 11-miesięcznego Janka na rękę i uciekła do sąsiada Teofila Kukli.

Odbudowa poszła dość szybko. Dzięki pieniądzą z ubezpieczenia i pomocy sąsiedzkiej (było w zwyczaju, że każdy właściciel lasu dawał pogorzelcom klocek drzewa za darmo), powstał nowy dom na starych fundamentach i stodoła z tyłu domu. Dom został pokryty dachówką, czego ojcu sąsiedzi zazdrościli. *Skorzystał na spaleniu i ma dom kryty dachówką* - mówili. Stodoła była w dalszym ciągu pod strzechą i na jej naprawę siało się cały czas żyto, młóciło cepami i robiło snopki na wymianę zepsutych.

Trzeba było jeszcze dorobić meble: łóżka, szafy, stół, ławkę, krzesła, kredens.



Wszystko ojciec robił sam. Zabrał się więc ostro do stolarki, ale nie tylko! W 1938 roku urodził się Staś, w 1939 Henryk i wreszcie z rozpacz, że kolejna wojna – ja, w lutym 1941. Na moje szczęście ojciec nie poszedł na wojnę (pewnie by mnie nie było, bo rok młodszy od niego zdążyli jeszcze na pobór i potem wyładowali w obozach jenieckich lub na Syberii).

Ale toczyli rodzice swoją wojnę, nie tyle z Niemcami, bo od nich nasza rodzina ani okoliczna ludność niewiele ucierpiała, ale z biedą. To, że nie cierpieliśmy głodu zawdzięczamy ich pracowitości i zapobiegliwości. To oczywiście odbiło się również na naszym wychowaniu i podejściu do życia. Podstawowym pojęciem było "tego szkoda: zjeść, wyrzucić, kupić" i drugie "nie siedźcie – róbcie coś!".

Jako przerywnik – anegdota. Mama dożywała swoich sędziwych lat (98) ze Stasiem, który był już pod 70-tkę, ale wciąż nie siedział, tylko coś robił. Mama mu mówi: *usiadłbyś sobie. A on na to: teraz mi to mówisz, trzeba było mi to powiedzieć 60 lat temu, jak nie miałem siły paść krów, albo wyrzucać gnoju!*

Ale innego wyjścia nie było. Siedmioosobowa rodzina na 50 arach pola, z czego pod uprawę zostało 3 poletka – po łąkiecku – stajonka. A więc uprawy 3 piętrowe: w ziemniakach niska fasola (groch piechotny) i fasola na tykach (tyczny groch). W pszenicy posiana koniczyna, aby razem rosła, a po żniwach już można nią było karmić krowy. Po wczesnych żniwach żyta natychmiast podorywka i sianie wyki lub sadzenie brukwi (karpiele), które zbierało się jak najpóźniej, czasem spod śniegu – bo szkoda – niech jeszcze rosną !

Naszym największym umartwieniem było pasienie krów (czasem trzech, na łańcuchach) na drodze do gościńca szerokości 2 m. Trzeba było je trzymać, bo po lewej i prawej szkoda. Było to coś w co krowy mogły wejść (najchętniej sąsiadowi w buraki, koniczynę itp., co dla pasącego wieczorem kończyło się ferflegą! Najgorzej w niedzielę po południu. Koledzy grają w piłkę, a u nas o 4 - tej wyganiacka i hasło: *Tamte portki i do bydła*. Również rano przed pójściem do szkoły, do której było 400 m, jeszcze godzina pasienia. Sama radość!

Przed i na początku wojny rodziły się dzieci i dom, a właściwie jego kuchnia, wypełniły się. Kuchnia o wymiarach 5 x 5 m skupiała wszystkich domowników. Piec zajmował północno- wschodni narożnik. Część do gotowania przykryta blachami z wyjmowanymi dwoma fajerkami lub kółkami. W przylegającą do niego część do grzania był wbudowany kociołek i szabaśnik. Na kociołku można było usiąść i przez otwory w blachach włożyć nogi do ciepłego popiołu, żeby je wygrzać. Mieliliśmy wiecznie przemarznęte nogi, które swędziały i grzanie trochę pomagało.

Do obu tych części pieca przylegał piec piekarski, w którym na raz piekło się sześć chlebów o średnicy 40 cm, a z przodu podłomik – cienki placek z tego samego ciasta co chleb, który był upieczony po około pół godzinie i można było go już jeść. Te duże bochenki siedziały w piecu od 1,5 do 2 godz. Na pytanie kiedy mam wysadzić chleb była odpowiedź: *Jak będzie pukał*. Taki jeden wypiek starczał na cały tydzień, pod warunkiem, że z poprzedniego wypieku został 1 bochenek (żeby nie jeść świeżego, bo niezdrowo, a może za szybko by się świeży zjadło).

Pieczenie chleba to była wielka sztuka naszej mamy, mogła się nim przed najlepszymi gośćmi pochwalić! Towarzyszył temu cały ceremoniał i potrzebne były odpowiednio długie szczapy suchego drewna do rozgrzania pieca, pomietło (wiązka słomy nabita na kij jak miotła Baby Jagi) do wyczyszczenia pieca po rozgrzaniu, łopata drewniana okrągła, ciosek do rozgarnięcia ognia po piecu, dziezka, tj. drewniana beczka do nastawiania zocyny i potem do wyrabiania ciasta, niecki do uformowania bochenka.



Pieczenie było najczęściej w środę. We wtorek na wieczór mama nastawiała zaczyn (zakwas był z poprzedniego ciasta): woda, mleko, drożdże, mąka. Właśnie – mąka. Na pytanie: *Mamo, upieczcie chleb?* (do naszej pełnoletności obowiązywała w stosunku do rodziców forma „wy”), odpowiadała: *Jak sobie umiecie*. Mąka z młyňa była tylko na ciasta i bardzo mały dodatek do razowej, którą sami musieliśmy namieścić na żarnach. Ich opis i mienienie to osobny rozdział.

W środę rano, jak już zaczyn trochę wyrósł, dodawała resztę mąki i miesiła. Gdy ciasto rosło, rozpalala w piecu piekarskim. Piec nagrzaný, wyczyszczony z węgla, ciasto wyłożone na słomianki jeszcze dorastało, potem na łopatę i do pieca na te 1,5 do 2 godzin, aż będzie "pukać". Pycha!! Gdyby tak jeszcze z masłem! *Chciecie masła, trzeba sobie zrobić*. Z mleka (najlepiej skwaszonego) zbieramy łyżką (chochelką) śmietanę. Jak się nabiera około 2 litrów, to do maśniczki i 500 do 1000 ruchów tłokiem (jeżeli to jest pionowa o średnicy około 25 cm jak ta z Łątki) lub obracając korbką łopatkami w prostopadłościenną skrzynkę albo podłączając wiertarkę elektryczną. Mamą oselkę masła i półtora litra maślanek z pływającymi grudkami masła też pycha!

Wracając do pieca piekarskiego, to było na nim sporo miejsca i ciepło, ale u nas spał na nim tylko kot i suszyły się buty. Myśmy spali w łózkach. Prosty rachunek, 7 osób. Małżeńskie łóżko rodziców i 5-cioro dzieci, razem 6 łózek x 2 m2 = ?, plus przejścia, to bardzo duża sypialnia. Kto to zbuduje, a potem ogrzeje?! Mieliśmy tylko wspomnianą kuchnię i izdebkę, ale bez pieca. W kuchni było miejsca na 3 łózka.

Jak ja wyrosłem z kołyski, to Marylka miała 10 lat, spała w jednym, czyli na nas czterech zostawało też jedno, dwóch spało w głowach, dwóch w nogach. W 1948 r. Marylka poszła do Liceum w Bochni, mieszkała na stacji i przyjeżdżała czasem na niedzielę i na wakacje. Mieliśmy więc już jedno łóżko na dwóch. Z tego stojącego naprzeciw drzwiczek do pieca widać było jak iskiereczki na nas mrugały, pachniało chlebem, a na ścianie nad nim piękny zegar ścienny wybił godziny lub tykał: *Idź spać, idź spać*. Ale nic za darmo, bo zaraz przy tym łóżku były drzwi do stajni i koncert ryczących rano krów i kwiczących świń nie dawał długo poleżeć. Zresztą, ja już chodziłem do drugiej klasy (wszyscy poszliśmy do szkoły w wieku 6 lat, nikt nam dzieciństwa nie ukradł, sami chcieliśmy), więc wstawało się do szkoły, a w lecie te ryczące krowy trzeba było paść.

Pora chyba na opisanie naszych żywicieli. Rodzice to żywiele, ale żywielki były dwie lub trzy. Najczęściej: Malina, Krasula, Wiśnia – krowy rasy czerwonej.

Wg. Encyklopedii, Krowa czerwona (polska) – rasa bydła domowego maści jednolitej czerwonej z rodziny mleczno-mięsnej. Rasa ta pochodzi od małego dzikiego bydła brachycerycznego (krótkorogiego), występującego we wschodniej części Europy. Waga: 400-500 kg; mleczność: 2700-3000 kg.

Naszym krowom trzeba byłoby jeszcze dodać: nośność i siła ciągu, bo jeździliśmy na nich wierzchem i były naszą siłą pociągową – dzisiaj powiedzielibyśmy: Trzy w jednym. Krowie zaprzęgi nie były w tej okolicy niczym nadzwyczajnym, ale ojciec udoskonalił osprzęt. Zamiast jarzma nasze krowy miały wygodne chomąta, podobne jak na konie, ale rozpinane, żeby nie trzeba im było rogów obcinać, i specjalnie do nich dopasowany wóz mniejszy i lżejszy – oczywiście ojciec zrobił go sam.

Przecież to proste, trzeba tylko zrobić dyszel, śnice, kołowrot z kłonicami, rozworę, nasad z podkulankami, cztery koła, w których są piasty, szprychy, dzwona okute rakwiami, dwie osi, sworzeń (sierdzień), zatylnik. Jak się jechało z lyterkami, to jeszcze spodniarka, półkoszki, a jak z lytrami, to koniecznie luśnie, a i pawęż by się przydał (żeby siano albo snopki nie spadły).



Dodać coś jeszcze? Jeżeli nie, to zaprzęgamy krowy, czyli zakładamy im chomąta, zapinamy naszelniki do dyszla, postronki do orczyków u wagi, wagę na hak pod śnicami. Dobrze jeszcze sprawdzić szlajfę albo łańcuch, którym blokowało się jedno tylne koło jadąc z góry, bat i „W imię Ojca i Syna” – jedziemy. Ładowność takiego pojazdu do 2 ton, prędkość max.

Można się śmiać, ale myśmy to wszystko znali i umieliśmy powozić. Była jeszcze orka tym samym zaprzęgiem i częste kłótnie jak orka nie wychodziła: *Ty nie umiesz poganiać. Nie, to ty nie potrafisz orać* (chłopcy 14, 15-letni).

Takim zaprzęgiem trzeba było zwieźć wszystko do stodoły, czyli podjechać pod pagórek, wyrobić (bez wywrotki) zakręt w prawo za domem i w lewo pod nasyp przy wjeździe do stodoły. Nie raz fura się wywalila – raz znalazłem się pod nią.

Krówki spisywały się dzielnie, gdyby im jeszcze dać dobrej paszy, to i mleka dałyby więcej niż 2 litry dziennie. Ale nie dostawały, bo po prostu nie było. Bazą ich pożywienia była sieczka, czyli słoma rżnięta w sieczkarni. Kolejne nasze zajęcie (dla dwóch) i kolejna umiejętność – trzeba umieć kosaki zaostriżyć i przykręcić, podać słomę do skrzynki (uważać żeby palców nie wciągnęło w tryby) i odpowiednio szybko obracać. Oprócz słomy cięło się trawę i liście z buraków, koniczynę i siano. Typowe zakończenie dnia – krowy napasione, sieczka urżnięta, ziemniaki przyniesione z piwnicy (pod wiosnę dodatkowo obrane z kłów, bo czują wiosnę i kiełkują), tylko nie brać tych odłożonych na sadzenie. To jeszcze umleć na chleb i dla świń i już można siadać do nauki.

Dobrze byłoby zdążyć przed nocą, bo mama zabierze lampę i: *Będziesz po ciemku czytać!* Lampa naftowa była jedna na cały dom i stała w kuchni na piecu. Jak się jej założyło pysk, to część lampy (czapeczka z otworami u dołu przez które płomień zasysał powietrze) świeciła jaśniej, ale zużywała więcej nafty, więc bez pyska (nie mojego!). Jak mama potrzebowała pójść do stajni albo komory, to zabierała lampę ze sobą.

– *Nauczyliście się już? To jeszcze przebrać piechotny groch* (fasolę, z której gotowało się zupę. Wysypywało się ją na stolnicę, bo mogło w niej być trochę zepsutych ziaren – była to dla nas dobra zabawa).

Po kolacji hasło: *Myć się, pacierze i spać, bo jutro do szkoły.* Można się umyć jak nie zapomniełeś przynieść 2 wiader wody ze studni, która była pod pagórkem. Studnia miała niską cembrowinę i lustro wody kilkanaście cm od gruntu. Dwa wiadra na nosidla, niecałe 50 m i już jest – czysta, świetnie smakująca źródłanka. Jak w kociołku zostało trochę ciepłej, to myłeś się w letniej wodzie. Kąpiel w wannie w soboty. Wannę drewnianą (140 cm dł. i 60 cm szer.) ojciec też sam zrobił i służyła jeszcze długo.

Łóżka z siennikami wypełnionymi słomą i na nich lniana samodziałowa płachta. Płachty tkał brat ojca – stryj Wawrzek – mama przędła lniane nici na kołowrotku, potem nici nawijane na motowidło o odpowiedniej ilości nici na jeden ganek i na warsztat tkacki. Len też się u nas siało i samodzielnie przygotowywaliśmy go do przędzenia, osobna sztuka. Mielenie zboża na chleb i na paszę dla świń trzeba było rozkładać na cały tydzień, bo to była ciężka i nudna praca. Żarna stały w sieni przy wejściu do komory czyli spiżarni. Jeszcze istnieją, można je oglądać w Łącku na strychu lub w skansenie. Podstawa to kamień dolny, kamień górny (oba nasiekane – ponacinane rowki), w górnym otwór w środku do wysypywania ziaren i żarnówka.

Pod spodem miejsce na niecki, do których sypała się mąka – jakiś mechanizm do podnoszenia górnego kamienia (granulacja mąki, podrazy, paprzyca) i *Wio!* xxx obrotów na kwartę mąki, a trzeba było dwa garnce. Ręce bolały, ale czasem drugi brat pomógł.

To zboże do zmielenia musiało się skądś wziąć. Wspomniałem już, że nasze pola



uprawne miały kilkadziesiąt arów i trzeba było na nich zmieścić uprawy żyta, pszenicy, jęczmienia, owsa. Jeżeli uwzględnimy plodozmian, to wypadało po kilka arów na każde zboże – całe szczęście, bo żniwa były ręczne. My już nie sierpami (mama jeszcze żęła i przy okazji odciąła sobie kawałek palca), bo w 1917 r. Rosjanie zabrali sierpy do godła ZSRR.

Była więc kosa z pałąkiem i kosiarz, za nim odbieracz, który zbierał zboże na snopki i wcześniej musiał sobie zrobić powrósło. Przed wieczorem wiązało się snopki i stawiało w mendlu, to nominalnie 15 szt., ale nasze miały po 10 snopków i 11-ty chochoł do przykrycia. Mendle stały w polu nawet do dwóch tygodni, aż ziarno w kłosach wyschło – nie było suszarni. Potem zwózka krowim zaprzęgiem do stodoły, gdzie czekało na młóckę. Żyto prawie wszystko cepami. Jak było trzech, to rytm raz, dwa, trzy – tylko uważaj żebyś bijakiem w głowę nie oberwał. Przewrócić, wytrząsnąć i odłożyć na strzechę. Pszenicę i pozostałe zboża młóciło się maszyną. Jeszcze pamiętam taką napędzaną ręcznie (4 chłopów) u sąsiada napędzaną kieratem – znowu do Wikipedii.

Jak już był własny silnik spalinowy, to wypożyczało się tylko maszynę. Do obsługi trzeba było kilku osób (w tym zawsze my cztery), bo trzeba snopki ze stodoły podać na maszynę, zadać do maszyny, odebrać słomę i ziarno. Przed nocą słomę (mierzwę) złożyć na kopę i około 21-szej (w sierpniu jeszcze widno) solidnie zmęczyć, brudni, na rzekę wykąpać się. To było lepsze niż wizyta w aquaparku. Najczęściej następnego dnia słoma wędrowała do stodoły, bo musiało jej starczyć do następnego roku na sieczkę i pościółkę dla krów i świń.

Jeszcze jedno wspomnienie związane ze żniwami: Na ściernisku po zwiezieniu pszenicy zostawały połamane kłosa: *Jak sobie ubieracie kłosi i wymfolicie będzie płacek na odpust w Królowce* (to 6 sierpnia – Przemienienie Pańskie). A, że butów było szkoda, to boso po ściernisku z koszyczkiem po 500 kłosów, tj. 2 kg ziarna.

Pamiętam ojca schylającego się po pojedyncze ziarenko pszenicy! To nie żart, tak było przez kilka lat.

Powie ktoś: *Zacofani ludzie, bida podkrakowska*. Ale tak robiła większość gospodarzy.

Mogłoby paść pytanie: Po co mieć tyle dzieci, jeżeli nas nie stać na ich utrzymanie? Ale co to znaczyło wtedy stać nas na coś? Czy to co dzisiaj, że nie mogę kupić dziecku markowych ciuszków, komórki, smartfona, wysłać na wczasy do Grecji? Myśmy takich potrzeb nie znali. Buty i ubrania noszone jeden po drugim, w komórce było drewno i węgiel, a za granicę pojechałem na studiach do Bułgarii, a moja żona Iwona studiując Filologię Germańską, pojechała do NRD pierwszy raz 5 lat po jej ukończeniu w 1970 roku, jak się „ociepliło politycznie”.

Rodzice byli biedni, ale mądrzy i zaradni. Pierwszą próbę poprawy warunków życia podjął ojciec w 1946 r. Wyjechał z grupą kilkunastu osób pod Wrocław na Ziemię Zachodnią. Dostał 6 ha pola, zasiał pszenicę, posadził buraki cukrowe i kilka miesięcy gospodarzył – niby wśród swoich, ale...mieszkanie przypadło mu na piętrze (18 zabiegowych schodów, a w Łącku 3 albo wcale), wspólna stajnia i stodoła, i złodziejstwo, gdzie zostawisz coś i po chwili już tego nie masz.

Zebrał plony, ale przy rozliczeniu go oszukali. Zostawił wszystko i wrócił na swoje, gdzie domu się nie zamykało, i wszystko było „MOJE”.

Rodzice zapożyczali się, dokupili 40 a pola i zainwestowali w nasze wykształcenie kosztem własnych wyrzeczeń. Najpierw Marylka poszła do Liceum Handlowego w Bochni, mieszkała na stacji i ojciec raz w tygodniu pieszo nosił 20 km w plecaku chleb, masło, mąkę – nie było jeszcze żadnej komunikacji. Szkoła bezpłatna, ale stacja kosztowała.



Każde jajko, każda osełka masła na sprzedaż, a jadło się to co urosnie. Biednie, ale zdrowo. Ziemniaki, kapustę, marchew, fasolę we wszystkich odmianach. Nasza łąkiecka bryjka i kasza jagłana śni mi się do dzisiaj. Bo to było moje dzieciństwo, biedne, ale szczęśliwe, bo to był nasz dom.

Dom bez wody, kanalizacji, gazu, prądu, a więc i radia. Pierwszy hejnał z Krakowa usłyszeliśmy w słuchawkach detektorka, tj. radia zrobionego przez Janka z kryształkiem, na którym trzeba było znaleźć odpowiednie miejsce do odbioru fal.

Ale był to dom bez kłótni, przekleństw, z rodziną zasiadającą razem do stołu (lub jak byliśmy za mali to przy ławce), odmawiającą razem modlitwy (zawsze podczas burzy, bo uraz po spaleniu został na długo), z mamą śpiewającą rano Godzinki i wszystkimi śpiewającymi kolędy pod choinką zawieszoną u stragaża.

Dom z podłogą z surowych desek, które co tydzień szorowało się do białości, tylko był problem, bo robiło to dwóch, a desek była nieparzysta ilość: *Kto ma tą środkową wyszorować!?*

Dom z warsztatem stolarskim pod oknem, zapachem wiórów sosnowych jak ojciec strugał deski i tylko mówił do leżącego w łóżku: *Nie podnoś głowy, bo ci ją spust* (długi hebel) *rozbiję*.

Nawet stajnia przez drzwi i krowy były przyjazne, bo pozwalały pod żłobem pograć w karty (w domu zakazane, bo szkoda czasu – *Do roboty albo do książek!*).

Chlew dla świń, w którym dyżurowało się po oprosieniu się maciory, żeby nie przyległa małych prosiąt. Stodoła z możliwością skoków z kilku metrów na słomę, całe podwórze do biegania, zimą zjazdy na nartach z pagórka i budowane skocznie.

Bardzo przyjemne było pasienie krów we wrześniu po zebraniu potraw na Kucowym, bo można było krowy wypuścić i bawić się lub czytać (Malina zjadła mi parę kartek „Pana Tadeusza”. Pewnie był otwarty, tam gdzie „kapusta schylając sędziwe łysiny siedzi i zda się dumać o losach jarzyny”).

Dom, który nauczył pracowitości, obowiązkowości, oszczędności i szacunku dla ludzi. Mimo, iż rodzice nie mieli żadnych szkół, wyczuwali, że naszą szansą jest zdobycie wykształcenia i zachęcali do nauki, do czytania książek.

Moja szkoła była bardzo blisko domu, za blisko, bo ojciec widział jak się lekcje kończyły i tylko zagwizdał: *Do domu*. Nauka też szła nam nie najgorzej, również dzięki przyjaźni rodziców z Marią i Kazimierzem Leśniakami, kierownikiem szkoły i Panią od polskiego, którzy dbali o nasze wyniki.

Ze szkołą i Państwem Leśniaków wiążą się moje przyjemne wspomnienia. Nie wiem dokładnie, w którym roku sprowadzili się do Łątki. Zamieszkali w służbowym domu obok szkoły. Dwa pokoje, kuchnia i spiżarnia. Pomieszczenia wysokie z dużymi oknami (w porównaniu z oknami w naszym domu). Mogę opisać ze szczegółami jak były urządzone pokoje, bo w czasie ich wakacji dom był pod naszą opieką i chodziliśmy tam podlewać kwiaty. Pamiętam ładny kredens, „porządne” szkło i porcelanę. Tak się również złożyło, że będąc na urlopie w latach 80-tych pomagałem Pani Marii przy przeprowadzce z Łątki do mieszkania w Bochni i jako ostatni widziałem ten dom.

Te wspomnienia są ważne nie ze względu na rzeczy, które mi się wtedy bardzo podobały, ale na sympatię jaką darzyli Państwo Leśniakowie naszą rodzinę. Trzeba sobie zdać sprawę z tego, że przed wojną i zaraz po niej, nauczyciele stanowili elitę intelektualną wsi i byli w hierarchii „ważności” o klasę wyżej niż pozostali mieszkańcy. Do przysłowiowej dwójki: Wójt i Pleban należałoby dodać Nauczyciela i Aptekarza. W Łąckie Górnej był jeszcze Dziedzic, który miał majątek i mama chodziła jeszcze do pracy



na pańskie. Tamci ludzie z reguły trzymali się razem i niezbyt chętnie wiązali się z resztą wiejskiej społeczności. Dlatego też ta zażyłość i serdeczność wzajemnych kontaktów naszych rodzin była czymś niezwykłym i wywoływała nawet złośliwe komentarze, *Cempurowie wyżej mierzą – mówili*.

Państwo Leśniakowie mieli córkę Danutę, która była rówieśnicą Marylki i bardzo się lubiły. Niestety przedwczesna śmierć Marylki przerwała tę przyjaźń, ale my dalej jesteśmy dla Danusi Braciszkami i Staś jest z nią w stałym kontakcie. Danusia po studiach wyjechała z mężem do Olsztyna, gdzie teraz mieszka jej rodzina. Właśnie naszej Siostrzyczce Danusi dedykuję te wspomnienia i chciałbym, aby zostały w jej rodzinie na pamiątkę po Mamie i dziadkach z Łątki!

Parterowy budynek szkoły był drewniany, oszalowany deskami i kryty blachą. Pamiętam jak stukwały o nią kamyki, którymi rzucaliśmy na dach i domową ferflegę, bo Pan Leśniak poskarżył się ojcu, że zniszczymy stare blaszysko. Były trzy izby lekcyjne, z których na przerwach wybiegało się na podwórze. Podłoga z niemalowanych desek i drzazgi wbijały się w stopy. (Od wiosny do późnej jesieni chodziliśmy do szkoły boso, a na zimę ojciec robił nam drewniaki – teraz byłoby to trendy).

W klasach typowy układ ławek, czyli tablica podparta trójnogiem i stół nauczyciela z piórnikami, w którym był kałamarz, obsadka ze stalówką i królicza łapka do wycierania pióra – właśnie tę łapkę zapamiętałem.

Byłem chyba w II klasie i na lekcję w zastępstwie Pana kierownika przyszła Pani – młoda piękna studentka. Czegoś chciała nas nauczyć. Siedziałem w pierwszej ławce, ziewnęło mi się i do mojej otwartej buzi zmierzała ta właśnie łapka. Tą studentką była Danusia!

Do szkoły należało jeszcze pole, które rodzice dzierżawili. Zagony podchodziły pod same okna klas. Często bywało, że przy otwartych oknach słyszeli nasze odpowiedzi lub Pani Maria wychylała się z okna i mówiła do mam: *Władzia, ten twój Józiu znów się nie nauczył*, a mama na to: *A daj mu Pani po tyfku*.

Po tylku bici nie byliśmy, ale po łapach można było linijką oberwać. Na szczęście nikt nas z tego powodu do Poradni Psychologicznej nie prowadził!

Pani Maria wkładała dużo wysiłku w to, by nas nauczyć języka polskiego i wykorzystywać łąkieckie; *pude, bede, rasko*. Dzięki niej, a potem profesorom z Liceum w Bochni: p. Kotowej i p. Gębicy, byłem podobno najlepszym polonistą na fizyce. Pan Kazimierz uczył nas matematyki i każdą wolną chwilę zamieniał na wałkowanie matematyczki. Też dzięki niemu nie miałem problemów z matematyką.

O jego pozalekcyjnych zainteresowaniach napisałem trochę dalej. Po Marylce, do Liceum poszedł Janek – do dalekiego Bytomia, ale tam już był internat i nie trzeba było płacić – a potem Henryk i ja do Liceum w Bochni.

Do pomocy rodzicom w domu został Staś, ale nie skończył edukacji na podstawówce. Najpierw wyuczył się na krawca (chodziłem w kilku uszytych przez niego garniturach). Uczył się u Józka od Wicantego i u Kazia Wrony. Dało mu to zajęcie na kilka lat przed wojskiem i dodatkowe przepustki w wojsku jak oficerom poprawiał mundury. Ale sprytnie im uciekł na kurs kierowców i zdobył zawodowe prawo jazdy. A potem jeszcze „tylko” mistrza murarskiego, hydraulika. Dzięki jego inwencji i pracowitości zmienił się potem nie tylko nasz dom, ale cała Łąka.

Przez wiele lat był radnym, załatwił telefony i gaz dla wsi. Grał z powodzeniem w teatrze amatorskim, był niezastąpionym Mikołajem w Przedszkolu. Z jego Mikołajkowych występów nie zapomnę kwadratowych ze zdziwienia oczu naszej wnuczki



Ani, jak jej opowiadał, że się spóźnił, bo mu renifer padł i musiał pieszo z Laponii przyjść, a Ania: *Naprawdę?!*

W 1955 r w domu był już prąd elektryczny, niedługo potem bieżąca woda – wodociąg pod własnym ciśnieniem ze źródła nad domem.

Po powrocie Stasia z wojska, krowy już przestały służyć w zaprzęgu, bo pojawił się dzik, czyli ciągnik jednoosiowy. Potem pobudowano nową stajnię, a z poprzedniej po przebudowie zrobiono 3 pokój i łazienkę. Na telefon, gaz i pełną kanalizację trzeba było jeszcze poczekać kilkanaście lat, ale też się pojawiły.

W 1958 r. rodzice na 3 lata zostali sami w domu – Marylka i ja w Opolu, Janek, Staś i Henryk w wojsku – wszyscy trzech odsłużyli po 3 lata. Potem kilka lat spokoju i w 1975 trzech bracia znów się spotkali w Łącku, zbudowali kurnik na 15 tys. brojlerów i prowadzili hodowlę, walcząc z brakiem paszy i biurokracją.

Ale to już była firma i można było zrezygnować z hodowli świń, z dwóch krów i męczącej ręcznej pracy w polu. Siało się więcej pszenicy, którą zbierał kombajn, co ojca przyprawiało o stres, bo tyle ziarna zostawało w polu i nikt kłosek nie zbierał. Firma funkcjonowała do 1982 r., wtedy Amerykanie zamknęli dostawy kukurydzy i nie było paszy. No to z nudów zaczęli budować nowy dom już z pełnymi wygodami, ale ojciec tęsknił za swoim starym domem. Po przeprowadzce we wrześniu 1986 chodził z laseczką codziennie do starego domu i karmił króliki i kota, który nie chciał się przeprowadzić. Żył w nim krótko, bo zmarł w styczniu 1987 r.

Po kilku latach Staś sprzedął kurnik i stary dom i mieszkał z mamą w nowym, a po śmierci mamy w 2004 r. przeniósł się do żony. Z ojcowizny została kilkudziesięcioarowa działka i nowy dom używany tylko w lecie. Kurnik i stary dom kupili sąsiedzi – hodują nadal brojlery, a dom po niewielkim remoncie wynajęli. Stoi więc, ale to już nie mój (nasz) dom.

Moja żona poznała stary dom w 1965 r. i była zszokowana trudnymi warunkami. Przyjechaliśmy 1 stycznia do Łątki Górnej i trzeba było po ciemku w śniegu przejść 3 km od przystanku PKS – lamp ulicznych nie było. Dom zimny, ubikacja za domem, ciemno. Na szczęście nie proponowałem jej, że tu zamieszkamy. Ale w lecie dom był wygodny, bardzo się podobał naszym dzieciom i chętnie jeździły tam na wakacje – bardzo lubiły dziadzia Filipa.

Moje relacje z rodzicami i rodzeństwem będą się przewijały w historii moich następnych domów, a kontakt z rodziną miałem zawsze; z ojcem 46 lat, z mamą 63 lata, z Marylką 40 lat, a w dalszym ciągu żyje nas czterech braci, Filipowych synów.

Podział ról w domu był jednoznaczny – ojciec był szefem, ale rządziła mama i była ostateczną instancją. Ona decydowała, kiedy i co ma być zrobione. Nie robiła tylko zakupów (przez całe życie była w sklepie nie więcej niż 100 razy – raz na rok!!) Jej typowy zwrot: *Idźcie do sklepu, kupcie mi: zapalki, naftę, ocet...* Co było jej oszczędzone, to wiedzą tylko te mamy i babcie, które musiały zaopatrzyć domy w latach 80-tych lub były wykorzystywane do stania w kolejkach – *Szoruj babciu do kolejki!*

Natomiast gotowanie dla tak dużej rodziny w czasie i zaraz po wojnie lub, co jeszcze trudniejsze, dla 4 mężczyzn ciężko pracujących przy budowie kurnika i domu, czy dla kilkunastu najemnych do łapania kurczaków, teraz byłoby zajęciem dla całej ekipy kucharek. Ona to robiła sama, z tego co ziemia urodziła, albo „chłopcy” przywieźli czasem z Tarnowa (70 km).

Ojciec zaraz po wojnie był w domu (za wyjątkiem tego roku na Zachodzie), bo w okolicy nikt nie miał za co budować czy remontować. Dopiero jak ja poszedłem do



Bochni i potrzebne było co miesiąc 300 zł na opłatę Bursy to szukał pracy, a czasem daleko trzeba było do niej iść. Zaczynał w lecie o 6-tej. Przed wyjściem jeszcze nakosił krowom trawy lub coś naprawił. Pracował po 12 godz. i za to brał 30 zł. Dziesięć dniówek za moje utrzymanie w Bochni.

Wspomnieć również trzeba rodzinę „za granicą” (to było pytanie w podaniu o przydział paszportu!). Byli to brat mamy – wujek Ludwik Wrona – i ciocia Mamy (nasza ciocia-babcia) Franciszka Rosiek-Matras. Mieszkali w Ameryce i mieliśmy z nimi kontakt. Przychodziły od nich listy, na które mama szybko odpowiadała, a my mieliśmy za zadanie zaadresować kopertę i zanieść na pocztę. Nie znaliśmy angielskiego, więc odwzorowywaliśmy adresy wujka i cioci z ich kopert. Czytaliśmy po swojemu napisy na znaczkach i pieczętkach. Czasem z koperty coś wypadało, ale nie wiedzieliśmy, dlaczego trzeba się bardziej cieszyć gdy na banknocie pisze „ten dolar”, niż gdy pisze „one dolar” – przecież to też był ten dolar! Obojętnie „ten” czy „one”, zawsze one były mile widziane, zwłaszcza jak powstały Pewexy. Za dolara można było kupić kawę, czekoladę i inne smakołyki niedostępne w innych sklepach.

We Francji mieliśmy siostrę ojca Annę. Wyjechała w latach 30-tych i wstąpiła do zakonu Sióstr Wizytek. Bardzo się lubiły z naszą mamą i regularnie do siebie pisały. Adres też brzmiał bardzo obco, ale powtarzany wiele razy utrwalił mi się w pamięci, *2 Rue de la Visitation, Mayenne la Mayenne, France*.

Kilka lat temu jadąc ze znajomymi z Paryża do Bretanii przejeżdżaliśmy kilkanaście kilometrów od tego Mayenne. Niestety nie było możliwości wstąpienia i odszukania tej Rue de la Visitation. Ciocia Anna oraz jej współsiostry z Zakonu bardzo się interesowały naszymi warunkami życia i poza modlitwą obdarowywały naszą rodzinę paczkami z używanymi rzeczami, często już bardzo zniszczonymi. Ale liczyło się serce.

Dom, w którym wszyscy byli zapracowani i mieli zawsze zajęcie nie był jednak domem smutnym. Było w nim miejsce na śmiech i zabawę. Bawić się można było wszystkim, zwłaszcza tym, co sobie znaleźliśmy lub zrobiliśmy do zabawy.

Warsztat i narzędzia ojca były dostępne: *Żebyście mi ich tylko nie pogubili* – mówił. Ale każdy sam musiał wymyślić jak coś zrobić lub zapytać starszego. Robiliśmy więc hulajnogi, narty, łyżwy (wystarczyło do klocka drewna przybić stalowy drut i potem ten klocek przymocować do butów), jakieś strzelby i pukawki. Narzędzia były raczej ostre, więc ręce i nogi były pokaleczone.

Grało się w tzw. cyrkę i palestrę, chowanego. Piłki własnej nie mieliśmy, ale przy szkole było boisko do siatkówki i jak tylko był czas i kilku chętnych to graliśmy. Dorosli też się bawili, a Pan Leśniak wymyślał atrakcje. Zaprojektował i dopilnował wykonania zjeżdżalni. Z wieży zjeżdżał po szynach wózek, do którego mogły wsiąść 4 osoby i przejechać ok. 50 m. Pod koniec jazdy podjeżdżał pod górę, co miało go zatrzymać. Była zabawa, mimo iż czasem wózek się nie chciał sam zatrzymać! Generalnie był to człowiek wesoły i dowcipny. Jego kawały, zwłaszcza na prima aprilis, potrafiły rozśmieszyć całą wieś. Raz za jego namową na naszą stodołę wciągnięto cały wóz i tam go złożono. Z rewanżem poczekaliśmy kilka lat, aż Wielkanoc wypadła 1 kwietnia. Rano ludzie wracający z Rezurekcji stali przed jego domem. Zobaczył, że się śmieją, więc chciał do nich wyjść. A tu drzwi wejściowe do domu zamurowane, a na murze plakat z napisem „Nosił wilk razy kilka w końcu ponieśli i wilka”. Mógł wyjść przez okno, ale wołał wciągnąć cegły (ok. 100 szt.) do przedpokoju i w nocy dopiero wynieść. Miał szczęście, że murowaliśmy na sucho! Ale dowcip mu się podobał! Wesoło było również w czasie rodzinnych spotkań w Święta lub na Ojca imieniny (Filipa, 26 maja). Stałym gościem był stryj Wawrzek, który



przygrywał na czym się dało, na okarynie, kogutku, listku, grzebieniu. Wujek Józek Wrona grał na troku. Takie imieniny trwały do późnej nocy i można było pośpiewać.

Ojciec miał ładny głos i jego popisowy „Czerwony pas” był ozdobą imprezy. Stałymi gośćmi byli członkowie rodziny Mamy: ciocia Kunegunda i wujek Henryk Kaczmarczykowie, ciocia Stefa i wujek Władek Wronowie, wujek Józek i wujenka Helena Wronowie. Trzecia siostra Mamy, Frania mieszkała w Pustkowie Wilczkowskim koło Wrocławia (to ona pojechała w tej grupie z Ojcem w 1947 na „Zachód” i tam została).

Z Ojca rodziny na miejscu mieszkał tylko stryj Wawrzyniec. Siostra Ojca Anna, jak już wspomniałem, wyjechała przed wojną do zakonu we Francji, przyrodnia siostra Katarzyna Walczak mieszkała w Gorzkowie koło Bochni, a brat Michał w Bolesławiu koło Olkusza. Tak pokrótce wygląda historia domu i rodziny Cempurów z Łątki Dolnej 154, domu mojego szczęśliwego dzieciństwa i kochającej się rodziny.

Odszedłem z niego w wieku 13 lat, ale wszystkie wakacje szkolne i studenckie w nim spędzałem. Dom opuściłem w 1964 r. z poduszką zrobioną dla mnie przez mamę na nowe mieszkanie i nowe życie w Bolesławcu. Tu zbudowałem nasz nowy dom z większą ilością pokoi, ale dla mniejszej rodziny niż ta w Łące. Przeżyliśmy w nim szczęśliwie już 40 lat. Czy był równie szczęśliwy dla naszych dzieci jak mój rodzinny, to już one muszą ocenić.

Łąka Dolna – Bolesławiec 2018

O autorze:

Józef Cempura urodził się w 1941 roku w rodzinie chłopskiej, w Łące Dolnej. W rodzinnej miejscowości uczęszczał do szkoły podstawowej. Następnie ukończył Liceum Ogólnokształcącego im Króla Kazimierza Wielkiego w Bochni, był wychowankiem Bursy ks. Antoniego Czaplińskiego. Po maturze ukończył studia na wydziale matematyczno-fizycznym w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Opolu.

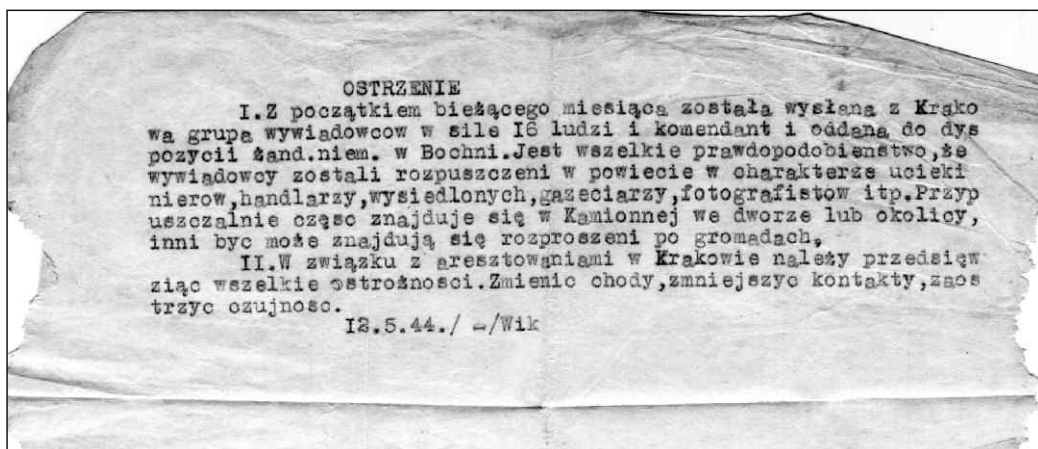
Od 1964 r. był związany zawodowo z Bolesławcem na Dolnym Śląsku, gdzie pracował najpierw w Liceum Ogólnokształcącym, a potem kilkanaście lat w Zakładzie Aparatury Próżniowej. Po likwidacji Zakładu wrócił do zawodu nauczyciela i do emerytury uczył fizyki w wyżej wspomnianym Liceum.



Archiwum Społeczne



zięki przekazaniu do Archiwum Społecznego Stowarzyszenia Przyjaciół Ziemi Żegocińskiej części zasobów Żegocińskiego Koła Związku Kombatantów Rzeczypospolitej Polskiej i Byłych Więźniów Politycznych (do 1990 roku Koła Związku Bojowników o Wolność i Demokrację (ZBoWiD) w zbiorach znalazły się fotografie i dokumenty związane z okresem II wojny światowej. Część z nich publikujemy poniżej.



Skan ostrzeżenia skierowanego do partyzantów Batalionów Chłopskich z Oddziału "Odwet" 12 maja 1944 roku przez żołnierza - ps. "Wik". Poniżej treść notatki.

OSTRZEŻENIE

I. Z początkiem bieżącego miesiąca została wysłana z Krakowa grupa wywiadowców w sile 16 ludzi i komendant i oddana do dyspozycji żand. niem. w Bochni. Jest wszelkie prawdopodobieństwo, że wywiadowcy zostali rozpuszczeni w powiecie w charakterze uciekinierów, handlarzy, wysiedlonych, gazeciarzy, fotografistów itp. Przypuszczalnie część znajduje się w Kamionnej we dworze lub okolicy, inni być może znajdują się rozproszeni po gromadach.

II. W związku z aresztowaniami w Krakowie należy przedsięwziąć wszelkie ostrożności. Zmienić chody, zmniejszyć kontakty, zaostrzyć czujność.

12.5.44./ -/Wik.





Podpis z tyłu fotografii: W lipcu 1943 roku w lasach Górczyny. Żegocina. Ćwiczenia i szkolenie czł. oddz. specjalnego BCh, dowodcz. drużyn i organizatorów tegoż ruchu jak: 1. leżący pierwszy od lewej Kołeczek Józef ps. Mściel, 2. Janiczek Józef ps. Jaskółka, 3. Stefan Obroślak ps. Orlik, 4. Świerkot Alojzy ps. Ryś. Z bronią w ręku kol. Dzidziec Szymon ps. Drozd.



Zdjęcie oddziału "Jastrzębca" wykonane na wzniesieniu Górczyna. Od lewej: dow. Plut. "Ryś", 2-gi kom. "Mściel", od prawej stojący "Kruk", w środku stojący "Żbik". Fotografię wykonano na polanie lasów Górczyny jesienią 1944 roku, od strony wsi Rozdziele.





Manifestacyjny pogrzeb lotnika Stefana Bohanesa na cmentarzu w Żegocinie w dniu 18 sierpnia 1944 roku, członka załogi samolotu pilotowanego przez Leszka Owsianego z 1586 eskadry do zadań specjalnych, która dokonywała lotów nad Warszawę z dostawami dla walczących powstańców. Po dokonaniu zrzutu w Warszawie. Samolot Halifax nr JP 220 w drodze powrotnej do bazy w Brindisi został zaatakowany przez niemieckiego nocnego myśliwca i trafiony wylądował awaryjnie we wsi Dębina koło Bochni. Ciało radiotelegrafisty plut. Stefana Bohanesa odnaleziono na polach dworskich w Łąckiej Górnej. Przy ciele znaleziono nieotwarty spadochron.

Na zdjęciu widoczni partyzanci z oddziału BCH "Odwet" - sekcja oddziału B.Ch. "Jastrzębca" pod dowództwem Alojzego Świerkota "Rysia" oddała honorową salwę z automatów. Po wojnie zwłoki ekshumowano go na brytyjski cmentarz w Krakowie.



Zdjęcia wykonane w Żegocinie, w 1943 roku u Kępy Tadeusza podczas prowadzenia kursu sanitarnego dla Kobiet z Polskiego Zielonego Krzyża. W środku Dziedzic Szymon ps. "Drozd" - przew. Trójki "Rocha".



Od sierpnia do czerwca, czyli kalendarium ważniejszych wydarzeń

1 sierpnia 2018 - udziałem w uroczystym apelu pod pomnikiem upamiętniającym ofiary Powstania Warszawskiego i pilota Stefana Bohanesa w Łącku Górnej, Stowarzyszenie Przyjaciół Ziemi Żegocińskiej im. Cz. Blajdy po raz kolejny włączyło się w ogólnopolskie obchody upamiętnienia wydarzeń w Warszawie. Była to 74. rocznica wybuchu powstania.

18 sierpnia 2018 - wernisaż wystawy fotografii Macieja Cybulskiego „Syberia-Gobi” oraz promocja IV. numeru „Kroniki Ziemi Żegocińskiej”. Obydwa wydarzenia wpisały się w obchodzone w weekend „Urodziny Żegociny”. Wystawa fotografii prezentowała piękno natury rozpostarte między dworcem kolejowym w Moskwie, a jeziorem Bajkał na północy i pustynią Gobi na południu Azji Centralnej. Prócz obejrzenia wystawy, zwiedzający mogli wysłuchać historii związanych z przygodami, w jakich brał udział autor wystawy. Zaraz po otwarciu wystawy, redaktor naczelna „KZZ” oddała w ręce czytelników kolejny ciekawy numer naszego rocznika.

19 września 2018 - wspólnie z Urzędem Gminy Żegocina, jako współorganizator wydarzenia, nasze stowarzyszenie przygotowało oprawę uroczystego apelu w 79. rocznicę agresji ZSRR na Polskę. W wydarzeniu udział wzięły delegacje ze szkół z terenu naszej gminy, Urzędu Gminy i SPZZ. Okolicznościowy wykład wygłosił prezes naszej jednostki, Tadeusz Olszewski.

28 września 2018 - uczniowski VII plener malarski w Łącku Górnej. Kierownikiem wydarzenia została mgr Teresa Białka, nauczycielka z Zespołu Szkół im. Św. JP II w Łącku Górnej. Młodzież miała do wyboru tematykę pejzażową lub martwej natury, w postaci samolotów i hangarów wpisanych w krajobraz łąkieckiej wsi.

13 października 2018 - wernisaż malarstwa Władysława Matłegi, pochodzącego z Łątki Górnej mieszkańca Krakowa. Nazywany „Krakowskim Nikiforem” artysta tworzy w stylu malarstwa naiwnego, eksponując wyraźne linie malowanych obiektów, jak również bogato zdobiąc kolorem swoje obrazy. Prześiąknięte tematyką przyrodniczą, wzbogacone spontanicznymi komentarzami autora, nie pozwalają przejść wobec siebie niezauważone. Wystawa prezentowana była w naszej galerii do listopada.

6 listopada 2018 - obecność delegacji naszego stowarzyszenia na wernisażu wystawy w Domu Bochniaka, dedykowanej postaci siostry zakonnej - żołnierki - Oldze Staweckiej.

11 listopada 2018 - udział naszego stowarzyszenia w obchodach 100. rocznicy odzyskania przez nasz kraj niepodległości. Najpierw, złożyliśmy kwiaty na parafialnym cmentarzu w części wojskowej, by następnie przemieścić się wraz z zebranymi osobami na część artystyczną do Centrum Kultury, Turystyki i Sportu. Podczas niej, członkini naszej



organizacji, Maria Juszczyk odczytała okolicznościowy wiersz, który powstał specjalnie na tę wyjątkową rocznicę.

20 listopada 2018 - udział delegacji członków SPZZ na wernisażu wystawy fotografii „Bramy do wieczności” oraz obecność na prelekcji historycznej dedykowanej wydarzeniom Wielkiej Wojny na terenie bocheńszczyzny.

14 lutego 2019 - spotkanie Zarządu SPZZ ze Starostą Bocheńskim i Wójtem Gminy Żegocina w siedzibie naszego stowarzyszenia. Podczas spotkania omówiono kwestie związane z funkcjonowaniem jednostek z sektora NGO i sposobów ich finansowania.

30 marca 2019 - XVIII Walne Zebranie Członków Stowarzyszenia. Było to kolejne zebranie, podczas którego zarząd referował działania za rok poprzedni i przedstawił plan działania na rok bieżący, podczas którego realizowane będą zadania wpisane w coroczny harmonogram, m.in. plener malarski, wydanie kolejnego numeru rocznika, jak również nowe inicjatywy wydawnicze i in. Zarząd przedstawił również relację z wydarzenia mającego miejsce dzień wcześniej w Starostwie Powiatowym w Bochni, gdzie podpisane zostały umowy na realizację zadań przez nasze stowarzyszenie z zakresie promocji historii i lokalnej kultury.

27 kwietnia 2019 - spotkanie z Grzegorzem Gawłem, znawcą historii regionu, a zwłaszcza historii dotyczącej żołnierzy wyklętych z naszego terenu. Spotkanie pod nazwą „Salwa i Salwowcy” poświęcone było żołnierzom z oddziały kpt. Jana Dubaniowskiego „Salwa” pochodzącym z naszych okolic, m.in. z Łątki Górnej, Trziany, Ujazdu.

11 maja 2019 - w godzinach porannych, na cmentarzu na Biedroniówce, ochotnicy ceniący wartość tego miejsca przeprowadzili pierwszą od wielu lat akcję porządkowania cmentarza. Spotkanie zainicjowane przez wójta gminy Wojciecha Wrone, na mocy porozumienia z ks. proboszczem Bogusławem Pasierbem, zarządcą miejsca, pozwoliło na wstępne oględziny i uporządkowanie okolic lokalizacji najstarszych nagrobków znajdujących się na tym cmentarzu.

11 maja 2019 - 24. rocznica śmierci Czesława Blajdy, patrona naszego stowarzyszenia. Mszę św. w rozdzielskim kościele celebrował proboszcz parafii Żegocina, ks. Bogusław Pasierb. Msza zgromadziła nie tylko rodzinę i członków stowarzyszenia, ale również sąsiadów Czesława Blajdy i osoby ceniące jego osiągnięcia etnograficzne i geograficzne.

22 maja 2019 - IV. Młodzieżowy Rajd Pieszy im. Czesława Blajdy. Mimo deszczowej pogody, rajd przebiegł bez problemów. Ze względów bezpieczeństwa, zmieniono jednak trasę, tak, aby uczestnicy wyjścia nie byli narażeni na kontuzje czy skręcenia w wyniku poślizgu. Konkurem wiedzy o patronie rajdu i odebraniu pamiątek okolicznościowych, spotkanie zakończyło się w CKSiT w Żegocinie.

6 czerwca 2019 - VIII Plener Malarski odbył się w Bytomsku. Opiekunką wydarzenia była mgr Bronisława Fasuga, pedagog bytomskiej szkoły podstawowej. W wydarzeniu wzięło udział 35 uczniów z okolicznych szkół. Wernisaż wystawy prac będzie mieć miejsce w miesiącach jesiennych w Galerii Wiejskiej naszego stowarzyszenia. Dziękujemy za współfinansowanie tego wydarzenia Samorządowi Gminy Żegocina, który od wielu lat wspiera tę inicjatywę.



Spis treści

WSTĘP

Słowa Pierwsze - Joanna Pastuszek-Cybulska3

ŻEGOCIŃSKI SŁOWNIK BIOGRAFICZNY

Tadeusz Olszewski4

WYKŁADY Z HISTORII

Z historii szkolnictwa w Żegocinie c.d. - Czesław Pączek13

WSPOMNIENIA CZASU WOJNY

Kampania wrześniowa, to był najgorszy okres w moim życiu
- Władysław Hejmo20

DOKUMENTALIA

Kronika Gminy Żegocina. Przedruk30

WYKLĘCI

Działacze z Beldna. Czarna legenda podziemia niepodległościowego
- Grzegorz Gawel42

ŚCIEŻKI I BEZDROŻA

Żarnówka. Szczególne miejsce w dziejach ziemi żegocińskiej
- Zdzisław Janiczek45

ARCHITEKTURA

Drewniane budownictwo sakralne w Gminie Żegocina. Część druga
- Tadeusz Olszewski52

HISTORIE DO OCALENIA

Wędrówka za chlebem. Wspomnienia byłej górniczki, Genowefy Wieczorek
z Laskowej - Janusz Głogowski61
Dwa domy. Wspomnienia - Józef Cempura64

ARCHIWALIA

Archiwum Społeczne Stowarzyszenia Przyjaciół Ziemi Żegocińskiej
im. Czesława Blajdy - Tadeusz Olszewski75

Z KALENDARZA

Kalendarium78





Fotografie szkoły w Żegocinie - lata 30-te i 80-te.

ISBN 978-83-64624-07-0

